

Przegląd Polski

TYGODNIOWY DODATEK KULTURALNY **nowego dziennika**

11 LIPCA 2008



Leon Botstein



Lech Majewski

Czas na Szymanowskiego

Z Leonem Botsteinem i Lechem Majewskim o inscenizacji “Króla Rogera” i “Harnasiów” rozmawia Roman Markowicz

Naszą rozmowę z Leonem Botsteinem rozpocząłem od przypomnienia mu koncertu sprzed 12 lat, kiedy ze swoją American Symphony Orchestra zaprezentował w Avery Fisher Hall koncert w całości poświęcony muzyce Karola Szymanowskiego. Wówczas, obok nigdy chyba wcześniej niewykonanej w USA kompozycji *Słopiewnie* usłyszeliśmy trzy symfonie (nr 2, 3 – *Pieśń o nocy* i 4 – *Symfonię koncertującą* na fortepian z orkiestrą).

Maestro Botsteinowi przypomniałem również, że poza koncertową prezentacją *Króla Rogera* przez Montreal Symphony Orchestra pod batutą Charles’a Dutoita nikt inny wśród niepolskich dyrygentów nie wprowadza Szymanowskiego do swoich programów. Wprawdzie sir Simon Rattle nagrał orkiestrowe kompozycje i wspomnianą operę, ale na amerykańskim gruncie Botstein pozostaje dotąd jedynym prawdziwym propagatorem muzyki Szymanowskiego.

Moim pierwszym pytaniem nie było więc “dlaczego Szymanowski?”, ale raczej – w jaki sposób znalazł się on w towarzystwie Sergiusza Prokofiewa, któremu poświęcony jest tegoroczny festiwal w Bard College w Annandale-on-Hudson pod Nowym Jorkiem. Botstein poprzedził jednak swoją odpowiedź powrotem w przeszłość:

– Muzykę Szymanowskiego przedstawił mi po raz pierwszy mój nauczyciel skrzypiec Roman Totenberg, który był nie tylko przyjacielem kompozytora, ale propagatorem jego muzyki. W towarzystwie Szymanowskiego wykonywał on też niektóre kompozycje skrzypcowe; miał więc nie tylko znajomość tej muzyki z pierwszej ręki, ale też zaszczepił we mnie zainteresowanie nią.

W tym roku festiwal poświęcamy Prokofiewowi, ale tradycyjnie wykonujemy też opery pochodzące z tej samej epoki. Przed rokiem, kiedy festiwal poświęcony był Elgarowi, wykonaliśmy opery Zemlinskiego, rok wcześniej podczas festiwalu muzyki Liszta zaprezentowaliśmy operę Schumanna *Genowefa*. Ustalając repertuar braliśmy pod uwagę fakt, że dwie spośród oper Prokofiewa, które wchodziłyby w rachubę: *Gracze* oraz *Wojna i pokój*, znajdują się w repertuarze Metropolitan Opera; *Miłość do trzech pomarańczy* jest trochę pospolita. Reszta oper Prokofiewa jest także problematyczna; np. burleskowe, komiczne *Zaręczyny w klasztorze*, taka rosyjska wersja *Così fan tutte* nie dałaby się zbyt łatwo zaadaptować ze względu na humor, który jest za bardzo związany z językiem rosyjskim. Inne opery to zwykła sowiecka propaganda.

Zacząłem się zastanawiać nad innymi kompozytorami, którzy być może mieli z kontaktem z Prokofiewem i byli jakoś z nim powiązani. I tutaj pojawił się Szymanowski, który znał Prokofiewa, był z nim w poprawnych stosunkach, a łączyła ich przyjaźń ze skrzypkiem Pawłem Kochańskim. Pomyślałem sobie, że istnieje wystarczająco wiele związków tych dwóch kompozytorów ze sobą, aby skorzystać z szansy na przedstawienie rzadko prezentowanego dzieła, jakim jest opera *Król Roger*. Tutaj w Bard College jesteśmy również znani z tego, że poszukujemy okazji na zaprezentowanie kompozycji o nietuzinkowym ze sobą powiązaniu. Tak więc, jako przykład: jeśli mielibyśmy festiwal poświęcony Mozartowi, to zamiast kolejnej wersji jednej z jego znanych oper, ja bym raczej zaprezentował którąś z oper Haydna.

Opera Szymanowskiego to po pierwsze – arcydzieło, dotąd chyba niewystawiane tu w oryginalnej wersji, po drugie – to również opera odbiegająca od standardów. Jest trochę krótsza niż dzieła tego typu, a dramaturgicznie dość statyczna: stanowiłaby interesujący kontrast z inną kompozycją, którą chciałem zaprezentować, a mianowicie z baletem *Harnasiowie*, który również nigdy nie był w USA prezentowany w wersji choreograficznej. Wielu uwa-

ża *Harnasiów* za jedno z najlepszych dzieł Szymanowskiego. Zdecydowaliśmy więc na tzw. *double-bill* i koncert otworzymy właśnie tym baletem: te dwa dzieła razem – będzie to coś wyjątkowego.

Dla mnie wielce interesującą ideą było nie tylko zaproszenie polskich solistów, ale również chórzystów.

O ile moja znajomość języka rosyjskiego pozwoliła w przeszłości na pracę nad rosyjskojęzycznym repertuarem, powiedzmy nad *XIII symfonią “Babi Jar”* Szostakowicza, o tyle język polski, który znam z domu, ale którego nigdy dokładnie nie studiowałem, sprawiłby i mnie, i dostępnym mi chórzystom większą trudność: profesjonalne chóry przy pomocy polskiego instruktora poradziłyby sobie z fonetyką polską, ale dzięki współpracy polskiego rządu i Instytutu Kultury Polskiej w Nowym Jorku pojawiła się szansa sprowadzenia polskiego chóru, z której skorzystaliśmy. Język polski, który uważam za znacznie bardziej powabny od np. czeskiego, jest jednak trudny dla amerykańskich wokalistów, również dlatego, że nie mają z tym językiem tyle do czynienia co z rosyjskim, znacznie bardziej popularnym. Teraz nie będziemy przynajmniej musieli spędzać ogromnej ilości czasu na przygotowanie śpiewaków.

Podczas festiwalu cały rosyjski repertuar: kompozycje Prokofiewa, Rachmaninowa i Dukielskiego, przygotowujemy z amerykańskim chórem pod opieką rosyjskiego korepetytora.



Do grupy bliskich współpracowników Leona Botsteina należy Suzanne Mayer. Jak się okazało, to właśnie ona podczas pobytu w Polsce postanowiła zaangażować Lecha Majewskiego. Wybrała również solistów do *Króla Rogera* i *Harnasiów*.

Lech Majewski to niezwykle wszechstronny twórca światowej sławy – jest poetą, reżyserem filmowym, malarzem, prozaikiem, reżyserem teatralnym i operowym. *Carmen*, *Król Ubu* Pendereckiego czy *Opera za trzy grosze* Brechta przyniosły mu krajowe i międzynarodowe triumfy.

W Bard College Majewski nie tylko reżyseruje *Króla Rogera*, ale opracował również scenografię i projekty kostiumów; w *Harnasiach* nadzoruje także stronę artystyczną i wizualną baletu (choć nie samą choreografię, którą powierzono Noemie LaFrance, a kostiumy zaprojektowała Ewa Kochańska).

Rozmowę z Lechem Majewskim odbyłem już podczas prób. Reżyser rozpoczął ją od kwestii libretta opery, stworzonego przez Jaro-

Fot. Steve J. Sherman

Fot. Czesław Czaplinski

sława Iwaszkiewicza i samego kompozytora.

– Jest to dość chaotyczne libretto; w pewnym momencie Iwaszkiewicz zarzucił pracę nad *Królem Rogerem* i Szymanowski musiał sam ją kontynuować. Poezja Szymanowskiego – w przeciwieństwie do jego urzekającej muzyki – jest rozbuchanie kwiecista. Można by się długo głowić nad jej sensem i wynikającą z niej logiką akcji. Są tam jednak ciekawe idee, nie mówiąc już o stronie muzycznej, która ma wiele momentów o niezwykłej piękności – chociażby samo pojawienie się Roxany, z jej kołysanką.

Czy o wspomnianych problemach libretta wiedział Pan wcześniej, czy zdał sobie z nich sprawę dopiero podczas głębszego studiowania opery?

Znałem tę kompozycję bardziej jako muzykę, która mnie urzekła. Widziałem kilka inscenizacji, ale mnie nie zuroczyły – zamykałem więc oczy i słuchałem muzyki. W tej muzyce jest napięcie emocjonalne i czar: wciągnął mnie syreni śpiew Roxany.

Gdyby Pan o tych problemach wiedział wcześniej, nie zaakceptowałby Pan propozycji wyreżyserowania "Króla Rogera"?

Problemy libretta, o których mówiłem, pozostawiają w pewnym sensie otwartą kwestię realizacji opery. Pozwala to na szukanie własnych sensów, różnych interpretacji, wymiarów. Moją rolą jest uszanować i znaleźć ekwiwalent wizualny dla wizji Szymanowskiego.

Mam w pamięci jedno tylko przedstawienie "Króla Rogera" w

scenicznej wersji, poza tym znam albo wykonania koncertowe, albo nagrania. W wersji koncertowej opera świetnie się sprawdzała. Poza tym, dla mnie jest czymś oczywistym, że większość librett nie ma zbyt wiele sensu...

Opracowując reżyserię skupiłem się na przesłaniu symboli w tej operze: poszedłem też w stronę uproszczenia pogmatwanego sensu, jednocześnie wprowadzając elementy magii, cudowności, które pasują bardziej do języka współczesnego teatru i opery. Chcę tam wywołać element magii i rytualności istniejący w tej operze i odnieść się do jej symboli. Bo tam właśnie znajdujemy i Bizancjum, i Orient z arabskimi napisami, i wczesne chrześcijaństwo, i Sycylię: wszystko razem w takim intensywnym neoromantycznym duchu.

Głównym wyzwaniem, rzuc-

nym mi jako reżyserowi, było przede wszystkim tchnięcie życia w statyczną akcję opery. *Król Roger* przepełniony jest zwalczającymi się emocjami – podejrzewam, że jest to walka Szymanowskiego z samym sobą: odczuwam to i w treści, i w muzyce. On się szamocze i współcześni komentatorzy na pewno dopatrzyliby się w licznych momentach libretta utajonego homoseksualizmu kompozytora, ale przecież muzyczna emanacja Roxany jest szalenie zmysłowa, kobieca, kusząca: jej śpiew uwodzi. Pasterz natomiast przywodzi na myśl Narcyza (błuzniercze słowa: "Bóg jest piękny jako ja"). No i jego dionizyjska ekstazy...

Z LEONEM BOTSTEINEM
I LECHEM MAJEWSKIM
ROZMAWIAŁ
ROMAN MARKOWICZ

W *Królu Rogerze* wystąpią: Adam Kruszewski, Iwona Hossa, Tadeusz Szlenkier, Wojciech Maciejowski, Ewa Marciniak i Wojciech Bujalski. Pod batutą Leona Botsteina zagra American Symphony Orchestra, zaśpiewają: Chór Opery Wrocławskiej i Summerescape Festival Children's Chorus.

Przedstawienia: 25, 27 i 31 oraz 2 i 3 sierpnia w The Richard B. Fisher Center for the Performing Arts at Bard College, Annandale-on-Hudson. 25 i 31 lipca oraz 2 sierpnia można skorzystać z autobusu odjeżdżającego z Columbus Circle na Manhattanie: rezerwacja miejsc i biletów w cenie od 20 do 75 dol. – tel. (845) 758-7900, www.fisher-center.bard.edu.

Szczegółowe informacje: www.Polish-Culture-NYC.org.

Ostatni akt Józef Szajna (1922-2008)

Był wybitnym malarzem, grafikim, scenografem, reżyserem i teoretykiem sztuki. Człowiekiem o niezwykłej wyobraźni, kreatorem bardzo osobistego świata teatru, na którym traumatyczne przeżycia obozowe odcisnęły szczególne piętno.

Józefa Szajnę rozpoznawano na całym świecie, bo też po całym świecie jeździł ze swymi autorskimi spektaklami i prezentował prace malarskie na międzynarodowych wystawach. Jego dorobek artystyczny jest zbyt wielki, by można było go omówić w krótkim szkicu. Dlatego skreślę kilka słów osobistych wspomnień.

Profesora poznałam jedenaście lat temu, kiedy w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej budowaliśmy artyście galerię w jego rodzinnym Rzeszowie. Był szczęśliwy, gorączkowo doglądał robót, a jak Szajna Galeria już była gotowa, podarował kilkadziesiąt swych wspaniałych prac. Jubileusz 75-lecia urodzin Profesora i 50-lecia jego pra-

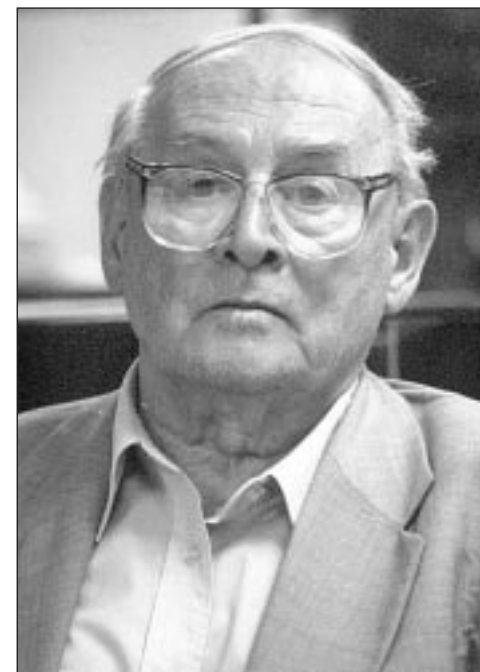
cy twórczej ("nieprawda, skończyłem 50 lat, a 75 haruję!") – krzyczał) był huczny, pokazaliśmy spektakl *Deballage*, który Jubilat wyreżyserował w naszym teatrze. Na premierze było dostojnie, przybyło wielu znakomitych gości. Ale pech chciał, że rozbijane jajko w jednej ze scen spektaklu trafiło prosto w wiceministra kultury Michała Jagiełłę siedzącego w pierwszym rzędzie. Był wyraźnie wściekły, czego nie krył, wychodząc do przemówienia. A Profesor, jak to miał w zwyczaju, powiedział ze spokojem: "Jak pan widzi, w moim teatrze nawet ministrów nie oszczędzamy".

Bywałam na próbach Szajny, obserwowałam jego młodzieńczy temperament, dowcip, a czasem ostrą reprimendę, jeśli był z czegoś niezadowolony. Dziesiątki godzin przegadaliśmy przy koniaku, a jeden z wywiadów przeprowadziłam z nim w osobliwych okolicznościach: w zamkniętym przedziale ekspresu relacji Kraków – Warszawa. We wspaniałych opowieściach człowieka, jakże wciąż młodego duchem, wracały wspomnienia. Z obozów w Oświęcimiu i w

Buchenwaldzie, gdzie dwukrotnie był w celi śmierci: "Jestem z pętli odcięty" – zwykł mawiać. Z czasów młodości spędzonej w Krakowie, gdzie kończył Akademię Sztuk Pięknych i współtworzył z Krystyną Skuszą i Jerzym Krasowskim Teatr Ludowy w Nowej Hucie. Był jego czołowym scenografem, a później dyrektorem. "To był czas walki z siłami oportunistów o wartości nadrzędne. Niektórzy tępiłi mnie, jak mogli. «Jaszcz» po spektaklu *Jacobowsky i pułkownik* ukuł wręcz pojęcie «szajнизм», znaczy szmacizm. Na szczęście nasze wyjazdy ze spektaklami *Myszy i ludzie* czy *Imiona władzy* do Paryża i Wenecji i tamtejsze sukcesy nieco osładzały te chwile ataków. A potem dostałem za swoje po *Rewizorze*. I jeszcze ten telefon z Kielc, z Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej: «My ci pokażemy, ty skur..., za to, co zrobiłeś z naszym Gogolem». Potem był Stary Teatr, z którego byłem zmuszony odejść po zdjęciu przez cenzurę reżyserowanego przeze mnie *Paternoster* Kajzara. Zbyt cenilem sobie wolność, wiedząc, że wystarczające ograniczenia są we mnie. No więc uważałem, że trzeba wyłamać się z tego leniwego skrzydła Ikara, które się po ziemi wlecze. W nowohuckim teatrze po raz pierwszy postawiłem drabinę do nieba: to były te moje wloty i upadki" – powiedział mi w jednej z rozmów.

Szajna w teatrze zawsze formował narrację wizualną, integrował akcję sceniczną z obrazem, rekwizyt z aktorem. "Sztuka jest tworzeniem zjawisk, stąd też moje z nią zmagania nazwałem TEARTEM, to coś więcej niż teatr" – usłyszałam od niego nie tak dawno.

I taką właśnie syntezą sztuk był także stworzony przez niego w 1972 roku warszawski Teatr Studio. Tam powstały największe spektakle artysty: *Replika*, *Dante*, *Cervantes*, *Gulgutiera*, *Majakowski*. Na Biennale Sztuki w Sao Paulo w 1989 roku krytycy obwołali Szajnę jednym z pięciu największych artystów XX wieku. Kiedy przypominałam Profesorowi przygodę z cudzoziemcami, których zapytano o największe atrakcje Krakowa, a oni wymienili ołtarz Wita Stwosza, Wawel i Szajnę, odpowiedział jak zwykle z poczuciem humoru i ironią: "Každy wściekły pies lubi być głaskany. Jako artysta czuję się spełniony, bo zawsze coś mnie wiodło lub ktoś mnie wiodł. I to jest to moje zezowate szczęście".



Fot. Zygmunt Malinowski

Była w nim niezwykła siła życia, wręcz młodzieńczość. Wspomniany jubileusz obchodziliśmy hucznie, kilkanaście godzin. Gdzieś około czwartej nad ranem bankietowi goście byli wykończeni. Ale nie Józef Szajna. Szalał, opowiadał dowcipy, słał uśmiechy pięknym damom. I tak było zawsze: czy to w domu u Profesora, gdzie miałam zaszczyt bywać, czy też w naszym domu, gdzie miałam go honor gościć. I to jego wspaniałe poczucie humoru, błyskotliwe puenty i riposty. Kiedy pytałam, skąd czerpie tyle sił, niezmiennie odpowiadał: "Droga pani, jestem z materiału przedwojennego, zakonserwowanego dobrze zmrożoną wódką".

Ostatni raz rozmawiałam z Profesorem dwa miesiące temu. Jak zwykle serdecznie odebrał dowód pamięci o nim. Jak zwykle żartował i planował: "Muszę znów przyjechać do Krakowa, by przywołać swoją młodość. Mam coraz mniej czasu, a jeszcze tak wiele do zrobienia. Bo ja, proszę pani, jak już kiedyś powiedziałem, dzielę swoje życie i pracę na trzy akty. W Teatrze Ludowym rozegrał się pierwszy akt, w Warszawie drugi, a teraz trwa trzeci – podsumowanie".

Jakie to smutne, Profesorze, że akt trzeci skończył się i kurtyna zapadła. Że już nie będzie kolejnego gongu.

JOLANTA CIOSEK



Józef Szajna, klatka z cyklu *Inżynieria genetyczna IV*, 1991 r., akryl, kreda, brystol. Ze zbiorów Państwowego Muzeum w Majdanku

Z wydarzeń kulturalnych w Polsce

LITERATURA

Książki Andrzeja Bieńkowskiego, Andrzeja Mandaliana, Piotra Matywieckiego, Franceski Michalskiej, Małgorzaty Szejnert, Olgi Tokarczuk oraz Adama Zagajewskiego zostały nominowane do Nagrody Mediów Publicznych Cogito w dziedzinie literatury pięknej. Nazwisko laureata zostanie ogłoszone we wrześniu br.

W jury zasiadają m.in. Julia Harwig (przewodnicząca), Jerzy Jarzębski i Janusz Krasiński.

Otwarcie wystawy "Zbigniew Herbert – apostoł w podróży służbowej" w szczecińskim Zamku Książąt Pomorskich zainaugurowało I Festiwal Literacki "Herbert. Reaktywacja".

Tematem ekspozycji, na której pokazano fragmenty utworów, rysunki i odnoszące się do nich obrazy, są związki twórczości Herberta z wielkimi dziełami sztuki europejskiej.

Ogłoszono także Konkurs Poetycki im. Henryka Banasiewicza, zmarłego tragicznie szczecińskiego poety, na tomik poezji nawiązującej do poetyki Herberta. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w drugiej części festiwalu, pod koniec października.

FILM

W Toruniu trwa Festiwal Filmowy Tofifest, na który składają się projekcje filmów niezależnych z 44 krajów świata, konkursy, panoramy kin narodowych i przeglądy tematyczne.

Zakwalifikowane do konkursu filmy walczą o miano najlepszego obrazu krótkometrażowego, pełnometrażowego, a także w nowej kategorii "Forward" dla obrazów nietypowych i nowatorskich.

Gościem specjalnym festiwalu jest gwiazda europejskiego kina Emmanuelle Seigner, żona Romana Polańskiego, znana z filmów *Frantic* czy *Motyl i skafander*.

511 filmów animowanych dla dzieci i dorosłych można obejrzeć podczas 1. Międzynarodowego Festiwalu Filmów Animowanych "Animator 2008" w Poznaniu.

W programie są m.in.: *Piotruś i wilk* Suzie Templeton, *Idiots and Angels* Billy'ego Plymptona, *Instytut Benjamenta, czyli sen, który ludzie nazywają życiem* braci Quay oraz projekcja filmów krótkometrażowych Waleriana Borowczyka.

W ramach festiwalu odbędzie się międzynarodowy konkurs, w którym udział wezmą 72 produkcje nadesłane z 20 krajów świata.

MUZYKA

Prawykonanie suit jazzowej *Tykocin* autorstwa polskiego kompozytora i pianisty Włodka Pawlika

odbyło się w Filharmonii Podlaskiej w Białymstoku. W koncercie wystąpił m.in. amerykański trębacz Randy Brecker, któremu oprócz Pawlika towarzyszyli kontrabasista Paweł Pańta, perkusista Cezary Konrad oraz Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Podlaskiej w Białymstoku pod batutą Marcina Nałęcza-Niesiołowskiego.

Zespół Manchester zwyciężył w Sopot TOPtrendy Festiwal 2008, prezentującym młodych, utalentowanych wykonawców, określanym mianem "trendy". Jako artyści "top", tj. ci, których płyty cieszyły się największym powodzeniem w ubiegłym roku, wystąpili Anna Maria Jopek, Edyta Górniak, Kombi, Doda oraz Raz Dwa Trzy.

Festiwal zakończył Kabaret, podczas którego publiczność bawiła m.in. Marcin Daniec, Kabaret Moralnego Niepokoju i Jerzy Kryszak.

Bobby McFerrin, Branford Marsalis i Charlie Haden – gwiazdy światowego jazzu – wystąpili w stołecznej Sali Kongresowej w ramach zbliżającego się do półmetka festiwalu Warsaw Summer Jazz Days.

Bobby McFerrin tym razem wystąpił z Anną Marią Jopek i pianistą Leszkiem Możdżerem.

Marsalis był także główną gwiazdą XIII Letniego Festiwalu Jazzowego w Krakowie.

We Wrocławiu trwa "Brave Festiwal 2008 – przeciw wypędzonom z kultury", który w tym roku odbywa się pod hasłem "Rytuał zaczyna się w Afryce".

Na festiwalu zaprezentowane zostaną także afrykańskie rytuały, m.in. "taniec męskiej urody" plebienia Fula oraz pieśni grupy Wagogo Muheme Group z Tanzanii.

Organisci m.in. z Francji, Włoch, Polski, Danii i Belgii wystąpią podczas 15. Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Organowej "Organy archikatedry" w Warszawie.

Dla publiczności zagrają także m.in. Francisco Amaya Martinez – hiszpański wirtuoz gry organowej, oraz Ignace Michiels – jeden z najwybitniejszych belgijskich organistów. Polskę reprezentują Piotr Rachoń i Przemysław Kapituła.

Konkurs dla młodych wykonawców poezji śpiewanej o Nagrodę im. Agnieszki Osieckiej i koncert poezji Wiesława Dymnego "Pejzaż horyzontalny" odbył się w ramach 35. Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych "Śpiewajmy poezję" w Olsztynie.

W koncercie "Nie żałuję" z piosenkami do słów Agnieszki Osieckiej i z muzyką Jerzego Satanowskiego wystąpiły m.in.: Ewa Błaszczyk i Justyna Szafran.

TEATR

Spektakle, koncerty, występy kabaretów oraz przedstawienia dla dzieci wypełnią program wakacyjnych weekendów w Katowicach w ramach 10. Letniego Ogrodu Teatralnego.

Oprócz spektakli rodzimych teatrów pojawią się także zespoły ze Słowacji, Francji i francusko-portugalska produkcja *Contigo*. W ramach wieczorów kabaretowych wystąpi Kabaretowa Scena Trójki. W tym cyklu odbędzie się też benefis z okazji 30-lecia pracy scenicznej śląskiej aktorki Elżbiety Okupskiej, podczas którego wystąpią jej przyjaciele: kabaret Rak, Artur Barciś, Michał Bajor, Renata Przemyk i kabaret, w którym występuje sama artystka, czyli Moherowe Berety.

TANIEC

Losy Romea i Julii przeniesionych w realia współczesnego Bliższego Wschodu to historia miłosna widowiska *Zdarzyło się w Jeruzalem*, w którym bierze udział 40 wykonawców Kieleckiego Teatru Tańca. Towarzyszy im orkiestra Filharmonii Kieleckiej pod dyrekcją Jacka Rogali. Muzykę łączącą hebrajskie motywy z zaśpiewami muzeinów w wykonaniu Jorgosa Skoliassa skomponował Krzesimir Dębski. Scenografię zaprojektował Boris Kudlička. *Rzeczpospolita*

WYSTAWY

Zasoby skarbcza katedry wileńskiej, wśród nich cenne przedmioty ze srebra i złota, mające w większości charakter sakralny, do 28 września wystawiane są na Zamku Królewskim w Warszawie.

Najstarsze eksponaty pochodzą z XVI wieku. Można zobaczyć m.in. złote i srebrne kielichy, puszkę na hostie, a także relikwiarz (wśród nich relikwiarz z ręką św. Stanisława), pastorały, krucyfiksy, a także tkaniny liturgiczne, często z herbami fundatorów.

Prace 33 litewskich artystów wystawiono w bydgoskiej Galerii "bwa". Przygotowywana przez trzy lata ekspozycja "Współczesna sztuka Litwy – OD NOWA", którą można zwiedzać do 17 sierpnia, obejmuje malarstwo, rzeźbę i instalację, tkaninę, fotografię, wideo-art, performance, grafikę i film.

Wystawę "Zachować pamięć" otwarto w Muzeum Historycznym Miasta Stołecznego Warszawy. ► 11

W toku

15 września nakładem Biura Literackiego ukaże się **nowa książka Tadeusza Różewicza** *Kup kota w worku (work in progress)*. Dwa dni później we Wrocławiu odbędzie się specjalny wieczór z udziałem poety.

W liczącym 112 stron tomie znajdzie się 21 utworów. Obok wierszy, m.in. proza *przyj dziewczę przyj* oraz składający się z 6 części pastiszowy szkic wierszem i prozą *Nowa dramaturgia (twórcze inter-pretacje)*. Dodatkowo opublikowanych zostanie dwadzieścia barwnych rysunków i rękopisów, w tym cykl *Romanse w windzie*.

Przedpremierowe egzemplarze książki zamawiać można od 15 sierpnia w internetowej księgarni biuro-literackie.pl. *Instytut Książki*

Po ponad 40 latach od premiery filmu *Westerplatte* Stanisława Różewicza filmowcy z warszawskiej wytwórni Pleograf przygotowują kolejną opowieść o **obronie polskiej placówki** w Wolnym Mieście Gdańsku.

Autorem scenariusza i reżyserem jest Paweł Chochlew, scenografię przygotowuje laureat Oscara Allan Starski. Głównym wątkiem *Tajemnicy Westerplatte* mają być relacje między dowódcą placówki majorem Henrykiem Sucharskim i jego zastępcą kapitanem Franciszkiem Dąbrowskim.

Prace nad filmem trwają już trzy lata. Zdjęcia mają rozpocząć się we wrześniu, a obraz powinien być gotowy w przyszłym roku – na 70. rocznicę wybuchu wojny.

Gazeta Wyborcza

Na zamku w Pieskowej Skale rozpoczęła się realizacja *Szkoły żon* Moliera dla Teatru Telewizji. **Reżyserem sztuki jest Jerzy Stuhr**, który zagra także główną rolę Arnolfa, a towarzyszą mu Karolina Chapko (Anusia), Oskar Hamerski (Horacy), Sonia Bohosiewicz (Małgosia) oraz aktorzy Starego Teatru – Roman Gancarczyk, Zbigniew Ruciński, Aleksander Fabisiak. *Dziennik Polski*

Zakończono zdjęcia do komedii romantycznej *Kochaj i tańcz*, reklamowanej jako pierwszy **polski film taneczny**. W głównych rolach wystąpili Mateusz Damięcki i Izabella Miko. W pozostałych m.in.: Katarzyna Figura, Krzysztof Globisz, Rafał Królikowski i Kuba Wesołowski. Film jest produkcją telewizji TVN. Wyreżyserował go Bruce Parramore, który od kilku lat współpracuje z polskimi filmowcami. Autorem zdjęć, kręconych m.in. w Modlinie, jest Bartosz Prokopowicz. Choreografię opracował Jarosław Staniek.

Międzynarodowy Festiwal Opowiadania ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie na temat "O 700". Nieprzekraczające 10 stron maszynopisu teksty odpowiadające powyższemu hasłu bądź oparte na jego motywach można przysyłać do 5 września pod adresem redakcja@opowiadanie.org.pl lub Centrum Kultury ZAMEK, pl. Świętojański 1, 54-076 Wrocław.

Główną nagrodę stanowi zaproszenie do udziału w tegorocznym finale festiwalu, który odbędzie się w dniach 9-12 października we Wrocławiu. Jury przyzna także 12 wyróżnień, które będą uprawniały do udziału w kursie *creative writing*.



Tysiące miłośników jazzu przychodzą na Rynek Starego Miasta w Warszawie, gdzie odbywają się koncerty XIV Międzynarodowego Plenerowego Festiwalu "Jazz na Starówce 2008"

Teczki pisarza i akcja "Podlotek"

Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm rozmawia Anna Bernat

Przebywała Pani w Polsce na stypendium Fulbrighta. Co to znaczy być amerykańską stypendystką we własnym kraju?

Głównym powodem przyjazdu były sprawy związane z Melchiorem Wańkowiczem i jego archiwum, w którym wciąż jest wiele interesujących dokumentów, zwłaszcza korespondencji. A pracować nad tym mogę tylko w kraju; żadnych papierów Wańkowicza nie wolno mi, ani nie chciałabym, wywieźć z Polski. Przyjechałam więc z zamiarem zbierania materiałów do nowej książki. Mogłam też uczestniczyć w spotkaniach z czytelnikami z okazji ukazania się mojej książki *Kaja od Radostawa*, czyli *historia Hubalowego krzyża*.

W Ameryce opublikowałam dwa szkice poświęcone Wańkowiczowi i jego metodzie twórczej. Chcąc przybliżyć pisarza Amerykanom, określiłam go "polskim Hemingwayem". Te prace pomogły mi w otrzymaniu stypendium. Fundacja Fulbrighta wysłała Amerykanów do wielu krajów i sprowadza do USA naukowców niemal z całego świata. Stypendium ma charakter naukowy i jest bardzo cenione przez Amerykanów.

Moim opiekunem ze strony Uniwersytetu Warszawskiego był profesor Marcin Kula. W Stanach Zjednoczonych pogratulował mi tego stypendium mój senator stanu Delaware Joe Biden i kongresman Michael N. Castle, a tu w Polsce ambasador USA Victor Ashe.

Stypendium dało mi okazję okazję, by spokojnie pracować nad archiwaliami pisarza. A niemal każda z teczek to osobny temat.

Ale, jak mi wiadomo, inne tecki – te z IPN – pochłaniały głównie Pani uwagę, czas i emocje.

Dostałam zezwolenie na dostęp do akt Melchiora Wańkowicza w Instytucie Pamięci Narodowej. Czytam je w bibliotece IPN: olbrzymie, opasłe teki, prawdziwe sterty raportów i donosów na pisarza. Założone zostały jeszcze na początku lat 50. ub. wieku, kiedy Wańkowicz mieszkał w Stanach Zjednoczonych. Znajdują się w nich, oczywiście, materiały dotyczące prób rozpracowania polskiej wojennej emigracji politycznej i środowiska pisarzy emigracyjnych, a Wańkowiczem, twórcą książki o Monte Cassino, interesowano się w sposób szczególny. Co mnie np. poruszyło, to przechwycone listy pisarza, pisane z Ameryki do siostry Reginy, i jej listy do niego. Niektóre zostały skopiowane, inne przepisane, ale są też oryginały. Te nigdy nie dotarły do adresata. Wańkowicz ich nigdy nie przeczytał, ja widzę je po raz pierwszy. Żal, że tych serdecznych, pełnych troski listów nie otrzymałam. Pochylali się nad nimi urzędnicy bezpieki i regularnie je analizowali, co pewien czas robiąc "egzegezę" – co pisze Regina, co pisze jej brat Melchior.

Najbardziej jednak nieprzyjemne, naprawdę przykre są materiały z 1964 roku, te wszystkie donosy pisane w okresie, kiedy pisarz został aresztowany, gdy wytoczono mu proces o "przesyłanie za granicę materiałów szkodliwych dla Polski Lu-



Melchior Wańkowicz i jego asystentka Aleksandra Ziółkowska, początek lat 70. ub. wieku

dowej". Proces Wańkowicza był bardzo głośny, wiele pisała o nim prasa zachodnia, interweniował amerykański Pen Club i senator Robert Kennedy. A to tylko spotęgowało w kraju falę wrogości wobec pisarza. Część ówczesnego polskiego środowiska literackiego zazdrościła pisarzowi tej uwagi prasy polskiej i światowej, uważając, że to znakomita dla Wańkowicza "reklama". Z taką złością, zawiścią, zazdrością, irytacją mówiono o nim źle, że lektura tych dokumentów jest bardzo nieprzyjemna i budzi zażenowanie. Pośród kilkudziesięciu pseudonimów, jakimi zostały sygnowane, w donosach na Wańkowicza są też prawdziwe nazwiska i są to, niestety, pierwsze nazwiska naszej literatury.

Kilkanaście teczek Wańkowicza i jedna sekretarka pisarza. Jak się okazuje, "zasłużyła" Pani na własną teczkę. Co się w niej gromadziło?

Kiedy zajrzałam do mojej, 200 stron liczącej teczek, okazało się, że powstała ona, zanim jeszcze poznałam pisarza. A powód jej założenia był naprawdę śmieszny, wręcz groteskowy. Z Łodzi do Warszawy przeniesiono akta sprawy, której byłam bohaterką. W 1967 r. wydział III KMMO w Łodzi założył na mnie, uczennicę szkoły średniej, "sprawę operacyjną". Otóż, jak wiele nastolatek słuchałam audycji "Rendez-vous o 6:10", nadawanej codziennie przez Radio Wolna Europa. Były lata 60. i puszczano w niej te wszystkie wspaniałe przeboje, do których polska młodzież nie miała dostępu: można było posłuchać Beatlesów, Paula Anki, Ricky Nelsona. Prezenterzy audycji, m.in. Jan Tyszkiewicz, podawali od czasu do czasu tzw. adresy kontaktowe, pod które można było wysłać kartki pocztowe z prośbą o nadanie ulubionej piosenki.

Trochę tych kartek wysłałam,

podpisując się jako Magdalena. Wiele razy dedykowano mi piosenki. Ale kilka tych karteczek przechwycono. I wtedy to założono "sprawę operacyjną nr 11908" pod kryptonimem "Podlotek".

I oto, co mogę teraz przeczytać w dokumentach IPN:

"Autorka karteczek podpisująca się imieniem «Magdalena» chwalała program RWE, chwaliła jego obiektywizm, zarzucając jednocześnie naszym środkom przekazu stronniczość i brak obiektywizmu".

A ja naprawdę tylko prosiłam o piosenki. W dokumentach SB całą sprawę bardzo serio opisano, wołę zacytować, by oddać charakter tej ezopowej mowy: "Przeprowadzane przez nas przedsięwzięcia doprowadziły do ustalenia, iż autorką anonimowej piosenki jest obywatelka Aleksandra, córka..., itd.". Moje pocztówki podpisane "Magdalena" wysłano do, cytując: "ekspertyzy wykonanej w tutejszym laboratorium kryminalistycznym nr zke-0206/67...". I tak mnie rozpoznano!

Wezwano mnie – nieletnią – z ojcem na komendę: "W dniu 27.7.1967 przeprowadzono w gmachu komendy z wyżej wymienioną obywatelką i jej ojcem rozmowę. W wyniku rozmowy wymieniona w całej rozciągłości potwierdziła fakt pisania listów, wyjaśniając to chęcią usłyszenia w koncercie życzeń ulubionych melodii. Przyczyn, dla których szkalowała istniejące w Polsce środki przekazu, nie potrafiła podać".

Czy to nie jest śmieszne? Tracono pieniądze i czas na odszyfrowywanie anonimowych kartek nastolatek proszących o nadawanie piosenek?

Ale potem, gdy po śmierci Wańkowicza, okazało się, że pisarz w testamencie powierzył Pani pieczę nad swoim archiwum, zaczęły się poważniejsze sprawy.

Mojateczka zaczęła pęcznieć. Różnymi sposobami usiłowano mi to archiwum odebrać. Teraz, gdy przeglądam materiały znajdujące się w IPN, wiele rzeczy się wyjaśnia. Sama nie wiem, jak to się stało, że ja, wówczas 24-letnia, miałam absolutną pewność, żeby nikomu tego archiwum nie przekazywać. Z uporem trwałam przy tym, o co prosił mnie Wańkowicz. A nasyłano na mnie "wydawców", "literatów", "przyjaciół domu". Z Anglii przyjechał np. Ryszard Lassota. Proponował mi np. przeniesienie archiwum Wańkowicza do Londynu, do pana Zbigniewa Racięskiego. Sama skontaktowałam się z panem Racięskim, którego poznałam przy okazji wyjazdu z Wańkowiczem na operację do Anglii. Oświadczył on, że nic nie proponował Lassocie. Obdzwoiłam znajomych: Martę Miklaszewską, Jana Olszewskiego, i wszyscy przestrzegli mnie przed Lassotą. Tymczasem on napisał na mnie donos-elaborat.

Sprawa archiwum Wańkowicza była rozpracowywana na wszystkie strony. Zostałam poproszona do Ministerstwa Kultury, gdzie w obecności wiceministra, krakowskiego wydawcy i jakiegoś pana, który się nie przedstawił, ale za to na boku coś pilnie notował, rozmawiano ze mną o tym archiwum. Powiedziałam wtedy, że pan Lassota składał mi (jest to zacytowane w papierach) "dwuznaczne i niezrozumiałe propozycje" i że jest kłamcą, bo Racięski z Londynu o nic go nie prosił. Obszerne sprawozdanie z tej rozmowy jest w IPN, a najbardziej osobliwa jest osobna notatka, że moje zachowanie "mogło stworzyć przesłanki do dekonspiracji «Mieczysława» (pseudonim Ryszarda Lassoty), zwłaszcza w kontekście realizowanych przez niego dla Dep. I MSW zadań wobec pracowników ośrodków dywersji ideologicznej i

postawić pod znakiem zapytania możliwość dalszych działań «M» w przyszłości". Czyli – odkryłam konspiratora! Spaliłam jego działanie w Anglii!

Moją sprawą zajmował się Krzysztof Majchrowski, jak to wynika z akt w teczkach Wańkowicza, które podpisywał swoim nazwiskiem i rangą. Majchrowski uzyskiwał kolejne rangi, aż – co znalazłam w internecie – został generałem!

Ale w materiałach IPN są fragmenty bardzo dla mnie, że tak powiem, korzystne. Kazimierz Koźniewski, który dla bezpieki pisał sążniste elaboraty na temat Wańkowicza, na podstawie rozmów z kolegą redakcyjnym donosił, że archiwum, które pozostaje w willi Wańkowicza przy ulicy Studenckiej 50, zostało "zapisane w całości sekretarce Aleksandrze Ziółkowskiej, którą Wańkowicz bardzo wysoko sobie cenił. Twierdził, że ostatni rok swego życia tylko jej zawdzięcza".

W końcu SB zrezygnowała z dalszej inwigilacji Pani.

W tezcze znalazłam następujący zapis: "z uwagi na brak możliwości wykorzystania operacyjnego Aleksandry Ziółkowskiej oraz niewystępowanie w aktualnej postawie i działalności symptomów zagrożenia politycznego, proponujemy zaniechanie dalszej inwigilacji w ramach kwestionariusza ewidencyjnego i złożenie materiałów w Wydz. I Biura «C» MSW".

Czego się Pani najbardziej obawiała po raz pierwszy zaglądając w IPN do teczek Wańkowicza czy sięgając po własną teczkę?

Bałam się, że pośród tych, co składali donosy, odkryję kogoś bliskiego. Jak dotąd, tak się nie stało. Ale nie mam jeszcze pełnej wiedzy, kto się kryje za tymi wszystkimi pseudonimami, którymi sygnowane były materiały operacyjne.

A było tak, że niektórzy znajomi Wańkowicza stawali się z biegiem lat moimi przyjaciółmi. Bywali w domu, rozmawiali, pytali, słuchali, ale niektórzy z nich, niestety, potem rozpowiadali po Warszawie, co zasłyszeli, zaobserwowali, wyciągali jakieś wnioski "anty-Wańkowiczowskie". Są tego ślady w teczkach. Przywoływany wyżej "agent 33", czyli Kazimierz Koźniewski, pisał ogromne sprawozdania, powołując się na rozmowy ze swoim znajomym. Miałam mocno mieszane uczucia, jest mi wręcz przykro, bo w moim rozumieniu złamana została pewna podstawa lojalności. Co prawda, mój syn Tomek, który wtedy miał pięć lat, a dziś jest architektem i dziennikarzem i mieszka za oceanem, powiedział: "Mamo, to było po prostu paplanie, nikt na ciebie tak naprawdę nie donosił, nie znalazłaś się przecież w więzieniu. Ludzie mówili bez zastanowienia". Może to on ma rację...

I nie opisze Pani tego?!

Może opiszę, ale muszę pomyśleć i przespać wiele tygodni, jakby powiedzieli Irokezi. □

MICHAŁ OSIECIMSKI

Lustracyzm

Polska z coraz większym niepokojem pochyla się nad zjawiskiem rosnących cen. Ktoś ze zdumieniem zauważył, że dająca się zaobserwować w zglobalizowanej gospodarce świata (siłą rzeczy także i w polskiej) drożyzna to mniej więcej to samo, co jakby lekko zapomniana w Stanach Zjednoczonych inflacja. Jest niebezpieczeństwo, że wraz z inflacją, przed którą tak skutecznie broniły Polaków reformy prof. Leszka Balcerowicza, nastąpi kolejny przypływ hamujących postęp w rozwoju życia społecznego w większości jego form – w tym także gospodarki – resentymentów. Znów do roli guru, ferujących nieomylnie, a więc i niepodważalne wyroki, urastają historycy. Nie wszyscy, rzecz jasna, lecz przede wszystkim ci, którzy wypełniają zamówienie którejs z bardziej znaczących grup politycznych.

O WZBIERAJĄCEJ PONOWNIE I POWRACAJĄCEJ FALI ROZLICZANIA SIĘ Z PRZESZŁOŚCIĄ i jednoczesnego podnoszenia historyków do rangi klanu decydującego o najważniejszych polskich bieżących i przyszłych sprawach świadczy ostatni szum wokół osławionej publikacji Instytutu Pamięci Narodowej, w opaczny sposób poświęconej Lechowi Wałęsie. Znakomity był pokazywany w TVN film *Trzech kumpli*, o zbrodni komunistycznej bezpieki i potwornej zdradzie w gronie opozycjonistów. Choć stworzony z innych pobudek, poruszający i godzien poważnej, na nowo wartościującej ludzkie postawy i zachowania narodowej dyskusji, to jednak pokazywany jednocześnie z dyskusją nad opracowaniem IPN przyczynia się dodatkowo do narastania fali zdolnej zakłócić korzystny bieg polskich spraw. Widać bowiem wyraźnie, jak na tej fali, oprócz tych, którzy słusznie dopominają się zadośćuczynienia za doznane krzywdy, usiłują powrócić także ci, którzy nie zaspokoiili jeszcze żądzy władzy oraz tacy, dla których jedyna recepta na wzmocnienie polskiej gospodarki zawierała się w nierozumnym hasle: „Balcerowicz musi odejść!”

O tym, że mylenie się jest rzeczą ludzką, wiedzą wszyscy. Z tym, że niektórzy tę maksymę odnoszą wyłącznie do cudzej, a nie własnej omylności. Na nieubłaganych, bezkompromisowych twarzach dawnych i współczesnych inkwizytorów, którzy jako swoje logo mogliby obrać zarys zaciśniętych ust prof. Andrzeja Zybortowicza, maluje się poczucie wyższości nad omylną, nieświadomą masą, która nie dostąpiła wtajemniczenia, nie poznała i (to ważne) nigdy nie pozna tajemnic Księgi.

STWORZONA W MROCZNYCH ZAKAMARACH IPN KSIĘGA, nawet jeśli jej nakład zostanie zwielokrotniony, i tak będzie dostępna tylko nielicznym – tym, którzy zechcą ją uważnie przeczytać. Samo przeczytanie grubej Księgi to jeszcze nie zrozumienie jej zawartości. Nawet wśród tych, którzy uwierzyli, trafiają się tacy, którzy chcą zrozumieć. To im, a także pozostałej rzeszy wierzących poświęcają swoją uwagę i czas Nieomylni Interpretatorzy Księgi. Dla niewiernych mają wyłącznie pełną wyższości pogardę, od której do łamania kołem i palenia na stosie jest bliżej, niż to się może wydawać. – Pan opowiada bzdury! – krzyczał Zybortowicz na dziennikarza Jacka Żakowskiego, gdy ten w dyskusji telewizyjnej przyznał się, że nie zdążył jeszcze przeczytać całego dzieła Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka.

WYGLĄDA NA TO, ŻE WYZNAWCY SPI-SKOWEJ TEORII DZIEJÓW – którzy uparcie twierdzą, że porządek, jaki zapanował w Pol-

sce po obaleniu komunizmu, jest wynikiem zmyślenia najczarniejszych sił antypolskich z agentami Ubekistanu na czele – otrzymali do ręki dzieło na miarę co najmniej *Kapitału* Marksa. Główny ideolog tego nurtu, twórca teorii o wszechogarniającym Układzie i recenzent książki *SB a Lech Wałęsa*, prof. Zybortowicz, bez ostonek głosi ze studia w Toruniu, że Lech Wałęsa, zwany „Bolkiem”, cały czas działał na zlecenie esbeków, którzy w miejsce walącego się w gruzy systemu komunistycznego postanowili zbudować Układ, w którym po zagarnięciu większej części polskiego majątku mogliby dożyć swoich dni w dobrobycie, nie niepokojeni i nierozliczani za swoje zbrodnie.

Znamienne jest, że autorzy głośnego dzieła w swych pierwszych wystąpieniach publicznych gorąco zapewniali, że jedyną intencją, dla której podjęli trud pięcioletniego ponoć szperania w pokomunistycznych śmieciach, było li tylko odświeżenie prawdy o postaci, którą miliony miały za swego bohatera. Jak twierdzili, w najmniejszym stopniu nie zamierzali uchylić uznaniu dla wielkich zasług Wałęsy w wybiciu się Polaków na wolność. Teraz, ośmieleni poparciem ze strony głowy państwa i innych polityków z pierwszych stron gazet oraz niemających rzesz chętnych uzasadnienia czarno na białym swej, często niezrozumiałej, niechęci do elektryka, który wykonał wiekopomny skok przez płot, nabrali więcej pewności siebie i już bez żenady dają publicznie upust swoim fobiom. Są już na tyle pewni swego, że potrafią lekceważąco machnąć ręką na niezgadającą się ze wszystkim, co napisali, panią wiceprezes IPN Marię Dmochowską. Twierdzą, że jako lekarka, a nie historyk, choć – było nie było – ich szefowa, nie powinna zabierać głosu. Jednocześnie uznali, że wobec każdego przeciwnego zdania kolegów historyków wystarczy pogardliwe wydęcie warg i milczenie.

NATOMIAST JAROSŁAW KACZYŃSKI **UZNAŁ**, że nadszedł czas na przerwanie milczenia i cudownie uwalniając się od amnezji, przypomniał sobie nagle, że będąc ministrem w kancelarii prezydenta Wałęsy widział oryginały dokumentów potwierdzających agenturalną przeszłość swego ówczesnego pryncypała. Te materiały miał mu dostarczyć nie byle kto, bo szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Andrzej Milczanowski. Dzisiaj Kaczyński gotów jest przysięgać, że było tak, jak mówi, podczas gdy Milczanowski w prostych żołnierskich słowach

Lustracyzm to ideologia oparta na nienawiści, posługująca się narzędziami sprokurowanymi i często spreparowanymi przez gotowych do każdej zbrodni sługusów komunizmu.

zarzuca mu kłamstwo. Z taką samą pewnością co do tego, że ktoś tu kłamie, można założyć, że nikt się dobrowolnie do kłamstwa nie przyzna, więc może lepiej się zastanowić nad faktem, dlaczego ktoś tak troskliwy o losy ojczyzny jak Jarosław Kaczyński przez tyle lat nie pamiętał o porażających dowodach zdrady prezydenta, któremu kiedyś służył.

Andrzej Milczanowski, pytany o przyczyny nowego tumultu wokół Lecha Wałęsy, powiedział, że wszystko to zostało spo-



Fot. Teresa Gierzyńska

wodowane nienawiścią, jaką do byłego przywódcy Solidarności żywią odsunięci kiedyś przez niego bracia Kaczyńscy, którzy nigdy nie wybaczą doznanych upokorzeń i krzywd. Powiedział też, że w odróżnieniu od pamiętliwych Kaczyńskich, Lech Wałęsa nigdy nie kierował się osobistą nienawiścią i potrafił swoim wrogiem wybaczać. – Dlaczego? Bo ma klasę! – zapytał i odpowiedział sam sobie Milczanowski. Kto wie, czy to nie w tym krótkim autodialogu zawiera się niezależna od miejsca urodzenia i wychowania różnica, która decyduje o tym, który z polityków staje się porywającym tłumy liderem zdolnym przeobrażać świat, a któremu pozostaje wyłącznie nieuzasadnione rojenie o własnej wielkości i traktowanie przeciwników jak osobistych wrogów.

MINIONY XX WIEK BYŁ ŚWIADKIEM DWÓCH PRAWDZIWYCH WIKTORII, które przyniosły Polakom wytęsknioną wolność. Zarówno w jednym, jak i drugim przypadku udało się znakomicie wykorzystać sprzyjające Polsce uwarunkowania zewnętrzne. I zarówno w jednym, jak i drugim przypadku wykorzystaliśmy nadarżające się okazje dzięki temu, że pojawili się liderzy zdolni wokół siebie skupić na tyle znaczącą liczbę Polaków, że powiodły się najśmielsze zamierzenia. Ciekawe, że i Piłsudskiego, i Wałęsę spotkały podobne akty niechęci ze strony kontestujących ich dokonania i niepotrafiących ukryć zawiści grup Polaków. Obaj byli oskarżani o agenturalność i obu z jednakową zjadłością wytykano ich ludzkie słabości.

Pierwszym swym XX-wiecznym zwycięstwem Polacy cieszyli się nieco ponad dwadzieścia lat. Straciliśmy wolność akurat wtedy, gdy zaczęliśmy zbierać owoce tamtego zwycięstwa. Potem utraconą na pół wieku wolność odebrały nam obce moce. Obie ogarnięte szafem zbrodniczych ideologii.

DZIŚ ZNÓW DOBIEGAMY XX-LECIA ODZYSKANIA WOLNOŚCI. Owoce tej wolności widać wszędzie, gdzie się obejrzeć. To krzepiące uczucie, że potrafimy osiągać sukcesy, gdy nikt nam nie przeszkadza i gdy przycichają ideolodzy wszelkiej maści. Tylko w takich warunkach propagandowe hasło epoki gierkowskiej „Żeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej” przestaje śmieszyc swym oderwaniem od rzeczywistości. Ludziom naprawdę żyje się lepiej.

Nie widać też dzisiaj zagrożenia ze strony obcych mocy. Ale czy można wyzbyć się uczucia strachu o przyszłość, gdy tacy pewni siebie zaczynają być ideolodzy nowej generacji, dla których od przyszłości ważniejsza jest przeszłość, z której czerpią pełnymi garściami to, czym najlepiej potrafią walczyć z przeważnie wyimaginowanymi wrogami – błoto? O ile Polsce w dalszym ciągu potrzebna jest gruntowna lustracja, choćby po to, żeby tacy zdrajcy i zbrodniarze jak „Ketman”, czyli Leszek Maleszka, i ich mocodawcy nie zaznali spokoju, na który nie zasługują, o tyle nie powinniśmy sobie pozwolić narzucić lustracyzmu – ideologii zemsty płynącej z osobistych animozji. To ideologia oparta na nienawiści, posługująca się narzędziami sprokurowanymi i często spreparowanymi przez gotowych do każdej zbrodni sługusów komunizmu.

LUSTRACJA – TAK, LUSTRACYZM – NIE! – chciałoby się sparafrazować pamiętne skądinąd hasło. Wołanie o porzucenie przez ludzi zaślepiającego uczucia nienawiści jest równie skuteczne jak wołanie na puszczy. Jednak wskazanie, że spośród wielu ideologii ludzie najdłużej i najwierniej trwają przy tej, która głosi miłość i namawia do wybaczenia („jako i my odpuszczamy”) daje nadzieję, że i w polskiej polityce w końcu zwyciężą ci, którzy po prostu mają klasę. □

IZABELA JOANNA BOŻEK

Po swoim

O Adamie Czerniawskim i jego esejach

*Orszulo moja wdzięczna (...)**Czyliś do rajy wzięta? Czyliś na szczęśliwe**Wyspy zaprowadzona?*

Tak pytał w *Trenie X* zrozpaczony po utracie córki Jan Kochanowski i był on zapewne pierwszym w literaturze polskiej poetą przywołującym mityczny toponim krajny wiecznej szczęśliwości. Zarówno sam mistrz z Czarnolasu, jak i jego twórczość od lat stanowią przedmiot zainteresowań translatorskich Adama Czerniawskiego, być może więc dlatego nowa książka tego poety, pisarza, krytyka literackiego, esyisty, tłumacza i filozofa wreszcie nosi tytuł *Wyspy szczęśliwe. Eseje o poezji*.

URODZONY W 1934 ROKU CZERNIAWSKI jest w historii literatury polskiej XX wieku postacią, którą trudno przecenić. Kiedy opuszczał wraz z matką Polskę w 1941 roku, był dzieckiem niespełna ośmioletnim. To zapewne atmosfera domowa, wychowanie w pewnej kulturze, a może także fakt, że początkowe nauki pobierał w Tel Awiwie, Jerozolimie, Bejrucie i polskiej Junackiej Szkole Kadetów w obozie Barbara w Palestynie sprawiły, że nie mając bezpośredniego związku z językiem i literaturą, stał się Czerniawski jej praktykiem, wznawcą i orędownikiem. Studia humanistyczne odbyte w Anglii uformowały go chyba w podobnym stopniu, jak obcowanie z bogatą rodzinną tradycją, a związki z emigracyjnymi ośrodkami i twórcami dokonały reszty. Jeśli więc patrzeć na Czerniawskiego jako na twórcę emigracyjnego, to jest on przypadkiem osobnym i wyjątkowym: będąc całkowicie i idealnie pisarzem dwujęzycznym, nigdy nie stał w niewygodnym rozkroku pomiędzy krajem pozostawionym a krajem obecnym i nigdy też nie musiał znosić twórczych niewygód przypisanych tym, którzy opuszczali kraj jako ukształtowani już pisarze. Swobodne poruszanie się w dwóch językach dało Czerniawskiemu niewątpliwą przewagę i pozwoliło powiększyć obszar zainteresowań i twórczych działań oraz zaistnieć na wielu poziomach literackich.

POKAZUJE TO WYRAŹNIE TOM ESJÓW wydany ostatnio przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie i Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne "Fraza" w Rzeszowie. Autor zamieścił w *Wyspach szczęśliwych* ponad dwadzieścia esejów. Powstawały one na przestrzeni ponad czterdziestu lat, od końca lat 50. ubiegłego stulecia po początek wieku obecnego. Wiele z nich nosi podwójne daty, świadczące o tym, że zostały one po latach poddane potwornej analizie, że być może zostały skorygowane, poprawione. Niemniej jednak ich ton pozostaje niezmienny – pełen twórczej pasji, niezwykle osobisty i pełen intelektualnych meandrów, wśród których czytelnik musi poruszać się niezwykle ostrożnie dla własnego dobra, bowiem autor prowadzi nas poprzez niespotykane bogatą tematykę. *Mały traktat o sztuce*, pochodzący z

1965 roku, a będący wprowadzeniem do tomu, ma tę samą wagę i znaczenie co ponad 40 lat temu: dzieło sztuki – obojętnie, czy jest to wytwór malarza, czy poety – jest bytem niezależnym i niepodlegającym pobocznym interpretacjom. Nie wolno łączyć go z biografią autora czy wykorzystywać biografii do jakiegokolwiek interpretacji. Dziś to spostrzeżenie wydaje się oczywiste; kiedy Czerniawski pisał te słowa, mogły się one spotykać ze sprzeciwem.

Pozostałe eseje zadziwiają i imponują wiedzą i erudycją autora, który swobodnie i bez najmniejszego kłopotu porusza się po literaturze na każdej, dowolnie wybranej i dowolnie przywołanej płaszczyźnie jej interpretacji: historycznej, stylistycznej, językowej, kulturowej. Ezra Pound i Kochanowski, Przybóś i Norwid, Różewicz i Eliot, Czajkowski i Miłosz. Do tego dochodzą rozważania o świętym Anzelmie i jego dowodzie ontologicznym, Kartezjuszu i Heraklicie. Pisze też o sobie, o własnej poezji, o zmaganiu się z językiem, o własnej pracy translatorskiej i rozważania te stają się niezwykle ciekawym przyczynkiem do całej, ogromnej i jeszcze nieopisanej twórczości Czerniawskiego. Dla uważnego i nieortodoksyjnego czytelnika, który potrafi zsyntetyzować całość zbioru, staje się jasne, że Czerniawski dokonuje tu podsumowania swojego dorobku życiowego, że porządkuje kanon swoich poglądów na poezję, kanon, którego podstawy uformowały się wiele lat temu i któremu pisarz pozostaje wierny przez całe życie. Podsumowanie owego credo zamknąć można w kilku stwierdzeniach: poezja ma służyć pewnym celom i – aby dobrze wypełniać tę służbę – musi poddać się głównej i jedynej zasadzie: słowo ma mieć swoje znaczenie i tylko ono się liczy. Ornamentacyjna rola słowa w poezji nie jest istotna w przekazywaniu treści, a jedynie prostota zapewni jej przetrwanie. Poeta odgrywa w społeczeństwie rolę służebną – ma mówić, ale nie może pouczać, ma przypominać, ale nie napominać. Nie oznacza to całkowitego wyrzeczenia się emocji czy liryzmu, należy jednak wystrzegać się pustego poezjowania, zabawy słowem dla samej zabawy, dekoracyjności, która istnieje dla samej siebie i która prędzej czy później okaże się zdradliwa i szkodząca samej poezji.

Eseje Adama Czerniawskiego są pełne twórczej pasji, niezwykle osobiste i pełne intelektualnych meandrów, wśród których czytelnik musi poruszać się niezwykle ostrożnie dla własnego dobra, bowiem autor prowadzi nas poprzez niespotykane bogatą tematykę

INTERESUJĄCE I WYMAGAJĄCE DISCYPLINY JEST WYZWANIE INTELEKTUALNE, jakie autor stawia czytelnikowi swoich esejów. Czy będzie to analiza rozbieżności zdań pomiędzy Miłoszem i Przybósem na temat obowiązków poezji, czy interpretacja trzech religijnych wierszy Czajkowskiego, czy wreszcie rozważania o dykcji poetyckiej Ewy Lipskiej, zawsze jest to pisarstwo gęste od odniesień, aluzji, erudycyjnych wypraw w rejony, które mogą być nawet czytelnikowi nieznanne, ale które nigdy nie są peryferyjne. Nie oznacza to jednak chaosu, wręcz przeciwnie: Czerniawski ujmuje swoje rozważania w określone ramy i dyscyplinuje sam siebie, skutecznie wciągając czytelnika w określone tylko rejony literackich dywagacji.

Czerniawski to pisarz niezwykle płodny, jego bibliografia to kilkanaście tomów poezji i prozy, przekładów, antologii. Wśród nich są dwa tytuły, które warto przytoczyć przypomnieć. Jeden z nich to wydane przez W.A.B. w 2003 roku *Narracje ormiańskie*. Ten tom krótkich form, opowiadań, zachwyca "wariacką" wyobraźnią (niech mi autor wybaczy to określenie). Jest to kwintesencja groteski i niesłychanej przewrotności, z pomocą której wykreowany został świat o niepojętych zasadach, ale jest to świat, z którego nie można po prostu wyjść. Mieszają się w tych opowiadaniach konwencje, fakty i wydarzenia w niesłychanie cudowny sposób, cudowny, bo przywracający wiarę w to, że nie wszystko jeszcze wymyślono i że istnieje takie pisarstwo, które może zaskoczyć czymś do tej pory niespotykanym.



Fot. "Nowy Dziennik"

ZUPEŁNIE INNĄ RANGĘ MA ANTOLOGIA POEZJI POLSKIEJ, wydana przez Czerniawskiego już jakiś czas temu. Jej wartość jest ogromna i wciąż aktualna. Oto bowiem w 1988 roku czytelnik anglojęzyczny, będący jednocześnie amatorem poezji polskiej, otrzymał wybór wierszy 17 poetów przetłumaczonych na angielski przez samego Czerniawskiego. Wybór tych 17 nazwisk jest niezwykle oryginalny, bardzo osobisty i od razu wzbudził niemałe kontrowersje. Był to wybór z punktu widzenia twórcy antologii; można ten wybór krytykować, ale nie powinno się podważać. Wśród wybranych przez Czerniawskiego poetów znaleźli się Norwid, Staff, Szymborska, Herbert i Różewicz, czyli ci poeci, którzy zwykle umieszczani są w takich publikacjach. Oprócz nich autor antologii wyróżnił między innymi Wojaczka, Bursę, Woroszyńskiego, dodając kilka nazwisk z londyńskiej grupy "Kontynenty", takich jak Bohdan Czajkowski, Jan Darowski i sam Czerniawski. Nie zabrakło także Ryszarda Krynickiego, Stanisława Barańczaka i Bronisława Maja. Tom zatytułowany *Burning Forest* ukazał się nakładem Bloodaxe Books i stał się pozycją wyjątkową z kilku powodów. Już sam tytuł nawiązujący do cytatu ze Słowackiego ("nie czas żałować róż, gdy płoną lasy") określa zamysł twórcy antologii: liczy się poezja pozbawiona romantycznego rozgadania, koronkowości i patetycznego patriotyzmu. Ironiczny język Szymborskiej i Krynickiego, pozbawiona metaforycznych ozdóbek, dra-

matyczna poezja Bursy i Wojaczka, unikająca deklaracyjności i skromna w wyrazie poezja Barańczaka – oto co liczy się w poezji. Recenzenci zwrócili uwagę, iż zabrakło w tej antologii Czesława Miłosza, i spekulowali o powodach tej nieobecności. Niemniej jednak dla każdego, kto czyta Czerniawskiego, wybór tych, a nie innych nazwisk miał swoje uzasadnienie, które nie musiało być oparte na obiektywnych przesłankach. Czytelnik anglojęzyczny otrzymał wybór ciekawy, osobisty, prowokujący do przemyśleń i do dalszych poszukiwań. Czytelnik, należy podkreślić, bardziej ambitny niż ten, który ogranicza się do wypisów szkolnych...

Wróćmy jednak do zbioru esejów: *Wyspy szczęśliwe* to książka do wielokrotnego czytania, do przypomnienia sobie pewnych prawd, do pobudzania własnego apetytu intelektualnego. Może wydać się czasami kontrowersyjna i ortodoksyjna, wielokrotnie będzie irytować bezkompromisowymi opiniami, ale warta jest wczytywania się w nią. Jeśli nie po to, by zgadzać się z głoszonymi przez autora poglądami, to po to, by przez chwilę obcować z erudycją i siłą głosu rzadko już dziś spotykaną. □

Adam Czerniawski, *Wyspy szczęśliwe. Eseje o poezji*, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne "Fraza", Toronto-Rzeszów, 2007, s. 298. Książkę można zamówić w Księgarni Nowego Dziennika tel. (212) 594-2386 e-mail: ksiazki@dziennik.com strona internetowa: www.ksiazkionline.com

FILM | ANDRZEJ ZWANIECKI

Nowojorska kronika

Superman à rebours

Superman zawsze mnie drażnił. Mydłek w getrach przypomina przerośniętego harcerza, który nie pije, nie pali, nie używa, nie fajdaczkuje się, nie wpada w gniew i nie przeklina, zawsze gotowy do wykonania dobrego uczynku. Nie tylko nie ma w sobie nic, co normalnemu człowiekowi pozwoliłoby choć trochę się z nim zidentyfikować, ale przede wszystkim jest śmiertelnie nudny. Niechby sobie ratował świat i damy w niebezpieczeństwie, skoro robić to musi, ale dlaczego filmowcy muszą nas nudzić laurkami na jego cześć?

Scenarzyści – Vy Ngo i Vince Gilligan – stwierdzili, że nie muszą. Wymyślili oni przeciwieństwo Supermana i antidotum na jego banalną szlachetność. Tytułowy bohater *Hancocka* (Will Smith) to alkoholik i łazęga, który brudny, śmierzdzący i nieogolony sypia na ulicy, bluźni i w krótkich chwilach trzeźwości podszczypuje panienki. Już za samo to można go pokochać. Ale otwierająca film sekwencja daje nawet więcej frajdy. Hancock, mimo nadprzyrodzonych mocy (ma nadzwyczajną siłę i lata jak rakietę, a kule się go nie mają), interweniuje niechętnie i robi to po partacku. W trakcie lotu, który przypomina hipopowe pływy, objęta się o wieżowce, zahacza o samochody i niszczy znaki drogowe. Walczy z przestępcami i ratuje zwykłych ludzi, ale mimo to nie cieszy się ani sympatią tłumów, ani wdzięcznością miasta Los Angeles, które za szkody wyrządzone podczas katastrofalnych akcji pozywa go do sądu. Jedynie Ray (Jason Bateman), którego Hancock ratuje przed śmiercią pod kołami pociągu, uważa, że opinia o bohaterze jest dlań krzywdząca. Ray, specjalista od *public relations*, chcąc się odwdziżyć swemu zbawcy, oferuje mu pomoc w zmianie wizerunku. Sprawy komplikują się za sprawą żony Raya Mary (Charlize Theron), której demonstracyjna niechęć do Hancocka najwyraźniej kryje jakieś głębsze motywy.

Praca nad publicznym wizerunkiem bohatera prowadzi go najpierw do więzienia, co przydaje przewrotnemu pomysłowi dodatkowego satyrycznego wymiaru. Początkowo reżyser Peter Berg, który znajduje dla przygód bohatera właściwy ton pół żartem, pół serio, wyściska z materiału sporo dobrej akcji i komizmu, nie popadając nigdy w parodię. Ale gdzieś w połowie film dokonuje zaskakującego zwrotu, zmienia ton i w ogóle zamienia się w całkiem inną historię.

Ponieważ Hancock nie ma żadnego wyraźnego przeciwnika, filmowcy pośpiesznie usiłują go stworzyć. Te sztuczne zabiegi pachną amatorszczyzną. Co więcej, ich funkcja jest mocno wątpliwa, jako że reguły gry ulegają zmianie. Czarne charaktery zamiast uczestniczyć w zabawnej konfrontacji, pozwalają reży-

Hancock (Will Smith), choć ma nadzwyczajną siłę i lata jak rakietę, a kule się go nie mają, interweniuje niechętnie i robi to po partacku



serowi wpompować w przewlekły finał gigantyczną dawkę melodramatu. To jednak zamiast ocalić fatalnie pokiereszowany obraz, wywołuje konwulsje, które go ostatecznie powalają.

Robot na śmietniku Apokalipsy

W pierwszych kilku minutach *WALL-E* pojawia się przynębiający obraz przyszłości naszej planety. Widziane z lotu ptaka miasto przypominające Manhattan w miarę najazdu kamery ujawnia prawdziwe oblicze: góry sprasowanych śmieci są w nim równie monumentalne jak wieżowce, a ich skupiska otacza pustynny step, przez który przetaczają się burze piaskowe. Z fragmentarycznych reklam wideo wyświetlanych na elektronicznych billboardach wynika, że pod koniec XXI wieku ludzkość pochłonęła wszystkie zasoby naturalne, wyniszczyła doszczętnie ekosystem i zapełniła ziemię śmieciami. Konglomerat handlowy BnL (Buy N Large), który zdaje się zastąpił Organizację Narodów Zjednoczonych, zaproponował swoim klientom porzucenie zużytej planety i przeniesienie się na pokład kosmicznej *metropolis* dryfującej w kosmosie.

Fakt, że ten ponury wizerunek pojawia się w animowanym filmie firmowanym przez wytwórnię Disneya, świadczy nie tylko o tym, jak bardzo zmieniła się twórczość dla dzieci (i zapewne ich wrażliwość), ale także o tym, że jednym z głównych źródeł inwencji i oryginalności w kinie nie jest dziś żadne z wielkich studiów, lecz mała firma komputerowej animacji Pixar.

W wyprodukowanej przez Pixar animowanej autorskiej fantazji Andrew Stanton wieżowce ze śmieci powstają za sprawą tytułowego małego robota, który od wieków komasuje odpadki, prasuje je w bloki i układa jeden na drugim. Jedynym jego towarzyszem jest karaluch, a schronieniem hangar, w którym uczłowieczony bohater gromadzi skarby z odzysku. Radykalna zmia-

na w jego życiu następuje dopiero wówczas, gdy ze statku kosmicznego po wylądowaniu na ziemi wyłania się niezwykle elegancki "żeński" robot EVE dużo nowszej generacji.

Pierwsze 40-50 minut filmu, w których niewiele więcej się dzieje i w którym poza odgłosami wydawanymi przez roboty nie ma dialogów, to prawdziwy komiczno-lyryczny majstersztyk minimalizmu. *WALL-E* ma tu wiele z postaci stworzonej przez Chaplina w jego wczesnych filmach, zarówno gdy zmagają się z martwą materią, jak i wówczas, gdy romansuje z EVE. Ale z wielu scen rozgrywających się w szaroburym krajobrazie korozji, rozpadu, opuszczenia i samotności bije również przejmująca melancholia i tęsknota za czymś lepszym, a niewystawionym.

Dramatyczne i komiczne możliwości tej partii filmu wydają się tak bogate, że kiedy akcja przenosi się na wielką stację kosmiczną, nieuchronnie przychodzi rozczarowanie. Ludzie, którzy w drodze ewolucji zamienili się w spalone monstra z rozmytymi twarzami, grubymi odwłokami i zanikającymi kończynami, prowadzą tam całkowicie zautomatyzowane, wegetatywne życie z oczami wlepionymi w telewizor.

Ta satyra na Amerykanów i amerykański styl życia jest zabawna i zjadliwa, a niektóre sceny, jak np. warsztat naprawczy robotów przedstawiony jako szpital wariatów, są zabawne. Ale akcja, która składa się głównie z dość standardowych ucieczek, pościgów i sytuacji na krawędzi unicestwienia, obraca się tu wokół znanego z filmu *2001: Odyseja kosmiczna* wątku buntu komputera. *WALL-E* siłą rzeczy schodzi na drugi plan. Mimo to film ostatecznie triumfuje dzięki temu, że słodko-komiczna osobowość *WALL-E* przebija się i z drugiego planu, nawet w nazbyt pedagogicznym finale.

Humor Bondem podszyty

Get Smart, reklamowany jako kinowa wersja serialu pod tym tytułem z lat 60. ub. wieku, w rzeczywistości jest parodią Bonda. Poza paroma gadżetami i sytuacją wyjściową z telewizyjnym pierwowzorem ma on niewiele wspólnego. Ustawienie przypomina podstawowy schemat przygód Agenta 007 – Smart (Steve Carell) działa na zlecenie supertajnej agencji wywiadowczej CONTROL, której otwar-

tą wojnę wydaje działająca z terenu Rosji potężna szajka KAOS, kierowana przez szaleńca Siegfrieda (Terrence Stamp). Siegfried gromadzi prywatny arsenał nuklearny, aby pod groźbą jego użycia wymusić od Ameryki miliardy dolarów. Bohater udaje się do Moskwy w towarzystwie bardziej doświadczonej Agentki 99 (Anne Hathaway) z misją rozpracowania szajki i pokrzyżowania jej planów.

Telewizyjny Don Adams, który grał biurokrata awansowanego na agenta wywiadu Maxwella Smarta, miał coś z Petera Sellersa, który w roli inspektora Clouseau idiotyzm połączony z pewnością siebie doprowadził do komicznej ekstazy. Nowy Smart Carella nie jest idiotą, co czyni jego postać nieco subtelniejszą, ale równie zabawną. Jego spryt i nonszalancka brawura triumfują w niespodziewanych momentach i pozwalają często wyjść na swoje, mimo natchnionej nieporadności. Carell ma więcej z Bustera Keatona i Jacques'a Tatiego niż Sellersa; jak tamci genialni komiccy zmagają się tyłem z własnym niezgulstwem, co z martwą materią.

Nic dziwnego, że film stworzony wokół niego nie jest czystą farsą w stylu *Nagiej broni*, lecz połączeniem pastiszu z komiksowym obrazem akcji. Strzelaniny, pogonie i ucieczki nie są tu wyłącznie serią słapstickowych numerów, lecz kawałkami przyzwoitego (choć mocno umownego) kina akcji punktowanego komicznymi fajerwerkami. (Najlepszy – pojedynek taneczny, w którym Smart triumfuje na parkiecie z otyłą, lecz zwinną partnerką – nie ma z akcją nic wspólnego).

Nie wszystkie fajerwerki wypalają. Np. satyra polityczna na prezydenta Busha i jego zastępcę jest mierna, a kulminacyjna scena pościgu z udziałem samochodów, samolotu i pociągu bardziej wyczerpująca niż zabawna.

Ale Carell w parze z Hathaway, której Agentka 99 stanowi dla jego bohatera trzeźwy punkt odniesienia, stąpa lekko przez mielizny scenariuszowe i nieliczne kałuże tandety. Z pewnością idzie drogą prowadzącą do następnych odcinków. □



Nieporadny i nonszalancki Smart (Steve Carell) ma na szczęście u swego boku doświadczoną Agentkę 99 (Anne Hathaway)

KRYSTYNA KOWNACKA

Ellis Island?

O konkursie, o którym chcę tu opowiedzieć, po raz pierwszy dowiedziałem się z radia. Pomysł od razu wydał mi się doskonały. Doskonały! Po tylu latach samotnie spędzonych w ukryciu perspektywa wyjścia na światło dzienne bez obawy, że zostanę rozpoznany, swoim ciepłym, obiecującym głosem przemówiła do mojej wyobraźni. Mało tego, że przyjdzie mi w końcu zaznać dotyku wolności, to będę sobą i mimo tego, a może właśnie dzięki temu niebezpieczeństwo rozpoznania mnie również nie będzie mi zagrażało.

Stosując się do podanych w radiu wskazówek dla wszystkich zainteresowanych konkursem udałem się do wyznaczonego przez organizatorów punktu zbornego. Po krótkim zapoznaniu się z programem, jaki każdy z uczestników owego plebiscytu miał do zaoferowania, komisja eliminacyjna skierowała nas na statek, którego zadaniem było bezpieczne dowieszenie wszystkich do docelowego miejsca igrzysk.

Płynęliśmy kilka dobrych dni, nie wiem dokładnie ile, ale mimo zupełnego braku kobiet na pokładzie czas nie dłużył się nikomu. Tak to jest, gdy spotyka się grupa mężczyzn, których łączy wspólna pasja. Zapominamy o istnieniu niewiast. Okazuje się, że nie są nam one do niczego potrzebne.

Któregoś ranka, obudził nas pełen egzaltacji i podniecenia krzyk jednego z nas:

– Łąd! Łąd! Łąd!

Wybiegliśmy wszyscy na pokład, ci w pełnym już rynsztunku i ci, których baki nawet nietknięte były grzebieniem. Istotnie na odległej, zamglonej linii horyzontu rysowało się coś na kształt wyłuszczonego, wymarzonego lądu. Napięcie dramatycznie wzrosło, gdy zbliżyliśmy się do będącej celem naszej podróży ziemi obiecanej. Nawet mgła, która zawiśla nad wyrastającą z głębin morskiej wyspą, zacierającą jej kontur i irytująco przysłaniającą widoczność, nie była w stanie zaburzyć naszej radości.

Budynek w stylu francuskiego renesansu z dumnymi i groźnymi figurami orłów, jaki ustawiono na tej powstałej z wykopanej w trakcie budowy metra ziemi, opatrzony był napisem "Witamy na Ellis Island".

– Ellis Island? Ellis Island? – powtórzył z niedowierzaniem każdy z nas.

Po jaką cholerę przywieźli nas na wyspę przyjmującą emigrantów, w dodatku nieczynną od 1954 roku? Patrzyliśmy po sobie, szukając odpowiedzi w innych, równie zaskoczonych i zagubionych twarzach. Nigdzie jej nie było. Ruch naszych zakłopotanych głów jednak spowodował przemieszczanie cząsteczek powietrza, te zaś rozrzedziły ciężką mgłę, która ustępując, pomogła jednemu z nas, o najostrożniejszym wzroku dostrzec to, czego wszyscy z wyłuszczeniem oczekiwaliśmy. Z zadartą ku niebu czarną czupryną szturchnął sąsiada, ten następnego i następnego, i pozostali podróżni obdarzeni zostali wiadomością jak ustawione obok siebie kostki domina.

– No, to rozumiem! – powiedzieliśmy zgodnie, gdy już wszyscy ujrzeni czytelnym, niezamglonym napisem "Witamy na Ellis Island".

Jeden przez drugiego rzuciliśmy się do całowania piaszczystej gleby, która, jakby nie mówić, powstała przecież na naszą cześć. Moją, by być dokładnym. Moją, Elvisa Aarona Presleya, urodzonego 8 stycznia 1935 roku o godzinie 4:35 rano (pół godziny po martwym bracie bliźniaku), zmarłego 16 sierpnia 1977 o 3:30 po południu. To oczywiście do wiadomości niedowiarków, którzy nie mogą pogodzić się z faktem, znanym mnie i wam, prawdziwym miłośnikom mojego talentu i charyzmy, jaką roztaczałem zarówno za życia, jak i po śmierci, że Król Rocka nigdy nie umiera.

Myśleli głupcy, że wystarczy krzyknąć "Zmarł Król! Niech żyje Król!" i zastąpią mnie kimś innym. I niby kto miałby to być? David Bowie? Elton John?... Parodia, czy sta parodia! Nie widzę żadnego godnego siebie następcy. No trudno, jakoś muszę z tym żyć, a raczej nie żyć.

Wiadomość o konkursie na mojego najlepszego sobowtóra i fakt, że zdobywca pierwszej nagrody otrzyma zatrudnienie w jednym z nocnych klubów Las Vegas, tym samym, w którym niejednokrotnie przecież miałem koncerty, bardzo mnie podekscytowała. Oczywiście idące z tym korzyści materialne nie miały na to żadnego wpływu, bowiem na brak pieniędzy nie mogę narzekać, zwłaszcza teraz, po śmierci.

Słyszałem, że moje imperium rozrosło się do niemożliwości, że zarabiam więcej niż kiedykolwiek, chociaż od tylu lat już nie śpiewam. Co mam do stracenia, myślałem zgłaszając swoją kandydaturę na najlepszego Elvisa, poza anonimowością może, którą tak długo udało mi się zachować. Prawdopodobnie uważacie, że to niewiele, ale dla mnie bardzo dużo.

– Proszę pana, pan jest za szczupły na Elvisa. On nigdy taki nie był, pomijając oczywiście wczesny etap kariery, jedynie, w którym nie mógł narzekać na kondycję, później już nie należała ona do najlepszych – powiedziała sędzina, gdy prezentowałem zapoczątkowany przez siebie, jeszcze w latach pięćdziesiątych, taniec.

– Teraz chcę wrócić na jeden, jedyny koncert. Jeszcze tylko raz zaśpiewać *Are you lonesome tonight*... Raz dać się ponieść muzyce i sławie, a potem pozwolić obrzucić kwiatami i okrzykami: "Kochamy cię, Elvis! Tylko ty jesteś naszym królem, nikt nie może zająć twojego miejsca ani równać się z twoim niedoścignionym talentem!"

No w końcu ilu można mieć monarchów? Tam, na firmamencie, jest całe zatrzęsienie gwiazd, a i tu na ziemi ich nie

lepsza. Dostrzegam również poważne usterki w sposobie, w jaki trzyma pan gitarę. Proszę pozwolić, że pokażę, jak Król by to robił, albo proszę rozejrzeć się dookoła, jakoś inni radzą sobie trochę sprawniej – powiedziała, wyciągając rękę po instrument. Mój instrument, iskrząca się całą gamą jaskrawych, odbitych od brokatowej powierzchni kolorów gitarę, wartą dzisiaj kilka milionów dolarów.

– Nie chciałabym zabrzmieć zbyt brutalnie, ale dodatkowy problem to pański wiek. Elvis musi być młody. Młody, prężny i przystojny. No, kto to widział popularnego króla w wieku dojrzałym, poza może Henrykiem VIII?

Zanim konkurs dobiegł końca, lista rzuconych mi w twarz wypaczeń i niedociągnięć powiększyła się tak bardzo, że ściągając moją samoocenę do poziomu ziemi, marzenie o scenie zamieniło się w pragnienie powrotu do bezpiecznej kryjówki.

Zwycięzcą i zdobywcą głównej nagrody w postaci podróbki mojej gitary został jeden z Elvisów, z którym w trakcie konkursu trochę się zaprzyjaźniłem. Od początku było wi-



Ilustracja – Aleksandra Cieślak

brakuje, ale nic nie może równać się z blaskiem słońca. Gdy ono pojawia się na niebie, giną inne gwiazdy, choć jest tylko jedno, tak jak jeden jest Elvis.

Do konkursu przystąpiło około trzech tysięcy Elvisów. Czułem się trochę zakłopotany faktem, że ci biedacy, te niejednokrotnie marne podróbki mnie, musiały stawać w konkurencji z samym mistrzem. Efektem takiego pojedynku mogła być tylko druzgocąca porażka nieboraków.

Każdy z nas miał zaśpiewać dowolny, przez siebie wybrany, najbliższy jego sercu utwór i obowiązkowo objęty regulaminem *Jailhouse Rock*. Poza tym należało odpowiedzieć na dziesięć pytań związanych z moim życiem i twórczością.

Zaskoczony byłem wiedzą, jaką moi rywale posiadali o mnie. Na tym etapie konkursu potknąłem się dwa razy, podając, jak mnie poinformowano, błędnie datę urodzin córki Lisy Marie i żony Priscilli. Byłem jedynym uczestnikiem konkursu, który nie znał trafnych odpowiedzi.

Do licha, zapytajcie mnie o Gladys Love Smith, moją matkę, wtedy na pewno się nie pomylę – myślałem.

W dalszych partiach zawodów, gdy bez trudu udało mi się przemknąć przez półmetek, sędziowie w składzie dziesięciu osób, w tym jedna tylko kobieta, uznali, że moje podobieństwo do mnie nie było wystarczające. Kłopot polegał na tym, że nie mogłem nawet zaśmiać im się w twarz, bo ryzykowałbym dyskwalifikację.

– Proszę pana, pan jest za szczupły na Elvisa. On nigdy taki nie był, pomijając oczywiście wczesny etap kariery, jedynie, w którym nie mógł narzekać na kondycję, później już nie należała ona do najlepszych – powiedziała sędzina, gdy prezentowałem zapoczątkowany przez siebie, jeszcze w latach pięćdziesiątych, taniec.

– Poza tym pańska interpretacja utworów Króla wymaga pewnego oszlifowania. No, co tu dużo mówić, nie jest naj-

dać, że wpadł sędzinie w oko. Ani razu nie posłała choćby jednej negatywnej uwagi pod jego adresem, mnie natomiast ich nie szczędziła. Przebrzydła Bestia! Mnie, Elvisowi Aaronowi Presleyowi. Ja, Elvis Aaron Presley, przeżykając upokorzenie i wstyd, musiałem zadowolić się 26. pozycją!

Niewiele czasu upłynęło, zanim wieść o ich romansie, to znaczy Bestii i zwycięzcy, rozniosła się po całym Las Vegas. Elvis, bo tak w dniu urodzin dano na imię mojemu nowemu koledze, zapewniał mnie, że był to związek czysto platoniczny i w żaden sposób nie mógł wpłynąć na wynik konkursu.

Kilka tygodni później, gdy uznałem, że czas, bym wrócił do mojego świata, zdarzyło się coś, co kazało mi nie wątpić w jego słowa. Siedziałem samotnie w założonym przez Bagny kasynie Flamingo i przy dźwiękach moich własnych utworów, sączących się z grającej szafy, rozkoszowałem się ostatnią już w życiu lampką martini, gdy od stojącego pod ścianą stolika dobiegł mnie znajomy głos.

– Elvis! – chciałem już krzyknąć na powitanie, kiedy miejsce naprzeciwko niego zajęła sędzina, której właściwe imię już znałem.

O, dziękuję bardzo, ale tego towarzystwa mogę sobie odmówić. Nie zauważyli mnie, dzięki Bogu – odetchnąłem z ulgą. Sędzina wyglądała na trochę zdenerwowaną i powód jej napięcia stał się oczywisty, gdy odezwała się do Elvisa tymi oto słowami:

– Wiem, że to bardzo niekonwencjonalne i nie chciałabym swoją bezpośredniością wprawić cię w zakłopotanie, ale czujesz zapewne, jak jesteś mi bliski i jak moje uczucie z do niedawna jeszcze kielkującego, zamienia się w buchające płomieniem. Nie będę dłużej owijała w bawełnę, bo w końcu... Co tu kryć, kocham cię szalenie, twoją chęć być, jesteś mym marzeniem... Serce skradłeś mi, pełną w smutku dni, więc otwarcie mówię ci. Swój los na jedną stawiam kartę. Ty al-

bo żaden, ty albo nikt. Jesteś najpiękniejszym z wszystkich Elvisów i chciałabym dzielić z tobą życie.

Spojrzał na nią pytająco, ale nie zdążył wybełkotać słowa, gdy zapytała:

– Elvis, czy ożenisz się ze mną?

– Ale, ale...

– Proszę... tylko żadnego ale!

– Ale ja nie mogę się z tobą ożenić...

– Dlaczego? Jesteś już żonaty?

– Nie, ale jest milion powodów, dla których jest to niemożliwe.

– W takim razie, wskaż mi chociaż jeden.

– No dobrze. Jeden powód, jeden powód? – powtórzył, rozpaczliwie szukając go. – Już mam! – krzyknął. – Nie jestem naturalnym brunetem! Farbuję włosy, co drugi dzień. Przysięgam!

– Z radością pomogę ci w tych zabiegach. Miałam kiedyś miesięczny staż w salonie fryzjerskim.

– Strasznie dużo pałę.

– Kupimy płyn do płukania jamy ustnej. Tyle różnych gatunków mają teraz na rynku.

– Lubię spać do południa.

– Cudownie, będziemy spali razem.

– Jestem niezwykle leniwy.

– Ja za to jestem bardzo pracowita, będę robiła wszystko za ciebie.

– Uwielbiam alkohol.

– A kto nie?

– Jeszcze bardziej niż alkohol lubię narkotyki.

– Doskonale cię rozumiem. Sama nimi nie gardzę, więc i z tym dam sobie radę.

– Czasami mieszam jedno i drugie.

– To też wytrzymam.

– Mam ogromną słabość do mężczyzn.

– Ja też, a poza tym nie jestem zazdrosna.

– OK, powiem ci już prawdę. Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz...

– Elvis, kochanie wymyśl coś lepszego, przecież wiem, że nie jesteś Elvisem Presleyem!

– To prawda, nie jestem – odpowiedział Elvis, jednocześnie zdejmując czarną perukę z głowy. Długie, jasne włosy rozsypały mu się na ramionach, kiedy dodał: – Jestem kobietą.

– Trudno. Nikt nie jest doskonały – sędzina z uśmiechem zacytowała ostatnie słowa z *Pół żartem, pół serio*. A ja, całkiem serio, choć po cichu, wycofuje się do swojej samotni. Mam już dość żywych. Pokonany i przybity ciężarem własnej nieśmiertelności wracam do siebie, zostawiając was z nierozwiązanym dylematem moralnym. Czy miłość, prawdziwa miłość, która tak wiele potrafi wybaczyć, znajdzie tolerancję dla drobnego pomieszania płci? □

WYSTAWY, WYSTAWY... | CZESŁAW KARKOWSKI

Sztuka jako rzecz niemożliwa

Nad wystawą prac Marysi Gacek, otwartą w zeszłym tygodniu w Artes Gallery przy *Nowym Dzienniku*, dominuje instalacja przedstawiająca coś w rodzaju kójka dla kur "w budowie". Aby nie było wątpliwości, w czym rzecz, artystka postawiła pod ścianą wypchaną kurę, która zastąpiła żywy drób biegający po galerii w czasie wernisażu. Rozsypany się wózek z wielkimi prowizorycznymi skrzydłami komunikuje przesłanie: nieudolną próbę ucieczki z kurnika.

Zabawna instalacja pt. *Kukuryku, said a bird wanting to fly away* sprawa wrażenie wariacji na temat filmu rysunkowego *Chicken Run*, właśnie o kurach w kurniku przypominającym obóz koncentracyjny, marzących o ucieczce, aby ulecieć wolno jak prawdziwy ptak poza ogrodzenie. Ostatecznie budują prowizoryczną maszynę latającą, która wynosi więźniarki na swobodę.

Marysia Gacek wolałaby widzieć w swej instalacji raczej metaforę komunistycznego kraju, z którego nieszczęsna kura pragnie się za wszelką cenę wyrwać, mimo pozorów bezpieczeństwa, swojskości, zapewnienia podstawowych bytowych spraw. Jak pisze w krótkim wstępie do wystawy, instalacja ta to aluzja do "inspirującego, a jednak ostatecznie daremnego, rozczarującego i dysfunkcyjnego komunistycznego eksperymentu w Europie Wschodniej".

Jakkolwiek będziemy konkretnie interpretować dzieło młodej artystki, należy je traktować jako wyraz marzeń o dokonaniu czegoś, co przekracza fizyczne, jak i psychiczne możliwości jednostki; co jednak, wierzyć chcemy, jest możliwe do osiągnięcia dzięki uporowi, determinacji, a także śmiałości i fantazji.

Pozostałe prace (około 20) rozwieszane na ścianach galerii, bardziej graficzne niż malarskie, nawiązują do wspomnień z młodości – miasta dzieciństwa (?), ledwie zapamiętanego (dwa interesujące szkice *Going Home*), rodzinnych zgromadzeń, uroczystości komunijnych. Prace te

szkicowane na papierze albo na płótnie przypominają raczej wstępne próby, przymiarki do dzieł, które dopiero powstaną. Są wyraźnie, demonstracyjnie niedokończone. Sprawiają wrażenie owej metaforycznie potraktowanej kury starającej się wbrew wszelkim naturalnym przeciwnościom ulecieć, wzbić się, dokonać czegoś, co ją przerasta.

Gdyby chcieć zinterpretować łącznie prace zaprezentowane przez Marysię Gacek, to należałoby powiedzieć, iż według niej sztuka to nieustanna próba wykroczenia poza siebie, sięgnięcia w sferę niemożliwego.

Czy do tego potrzebna jest siła woli i wielka fantazja, czy tylko łut szczęścia? A może ów Anioł Stróż, którego wizerunek ze znanego świątobliwego oleodruku stał się pretekstem do serii małych szkiców olejnych na desce.

Wystawa prac młodej artystki, studentki School of Visual Arts, została przemyślana jako całość; nie jest to luźny zbiór dzieł. Po tej bardzo interesującej próbie chcielibyśmy jednak obejrzeć prace Marysi Gacek, w których pokonała już ograniczenia i wkroczyła w sferę niemożliwego. Bo na tym w końcu polega sztuka. □



Z serii *Anioł Stróż*

Fot. Archiwum

ŻABKĄ PRZEZ ATLANTYK

Model Bobkowskiego



Marek Kusiba

Nieoceniony przyjaciel Romek Sabo znów wpuścił mnie w maliny, a raczej – w Bobkowskiego, i to z powodu Sikorskiego. Generała Władysława Sikorskiego, a nie ministra Radosława Sikorskiego – jego zostawmy na inną okazję. W Polsce odżyła bowiem sprawa Gibraltaru, toczą się spory i boje historyków i historyków, a ja, zamiast pisać "Żabkę" i zajmować tak zwane stanowisko, od dwóch dni czytam znowu, ale tym razem uważnie, *Szkice piórkem Andrzeja Bobkowskiego* – literacki dziennik pisany we Francji w latach 1940-1944.

Czytam i przecieram oczy ze zdumienia przenikliwością pisarza. Przecież on wszystko przeczuł i przewidział! Pod datą 27.4.43 notował: "Makabryczny, ale doskonały dowcip w dzisiejszym *Le Petit Parisien*. Olbrzymi Stalin pochylający się nad małym Churchilllem i mówiący konfidencjonalnie, przysłaniając ręką usta i spoglądając na sylwetkę oficera polskiego, odwróconego do nich tyłem: «Miejsce pewnego generała polskiego nie jest w Londynie... lecz w Katyniu». Jak będzie «za dużo» o Sikorskiego, to chociaż jego sprzątną, skoro całej Polski nie można sprzątnąć. Zawalidroga. Na miejscu Sikorskiego zacząłbym się teraz bardzo pilnować". Az ciarki przechodzą po plecach...

Zapis z 5 lipca 1943 r. jest już tylko potwierdzeniem złowieszczej wróżby: "Skończyli go. (...) Całą jego siłą było może tylko to, że był niewygodny, ale w naszej obecnej sytuacji to było już siłą. Poza tym miał się symbolu, symbolu Polski, która w nim (oczywiście dla obcych) przeżyła dotąd na wygnaniu. (...) Dwa miesiące temu zaczynałem coś «przeczuwać» i nawet wkleiłem do zeszytu ten rysunek z *Petit Parisien*. (...) Jakże wspaniale urządził wszystkich ta śmierć".

Następnego dnia Bobkowski zanotował: "Mają przeprowadzić śledztwo i dochodzenie w Gibraltarze. Trzeba by je raczej zrobić w Londynie albo w Moskwie". Co do Moskwy miał także wyjątkową zdolność przewidywania. Pisał: "Rosjanie (...) niedługo złączą nas «uwalniać». I uwolnią nas na pięćdziesiąt lat". I jak tu nie wierzyć pisarzom? Bobkowski odrzucał myślenie o czynnej walce o Polskę, "o której my nie będziemy stanowić". Był bezkompromisowy: "Polska usiadła nam na mózgu i paraliżuje myślenie. Zamiast być *homo sapiens* należymy do rasy *homo polacus*, do rasy ogłupionej ojczyzną, do kretynów chorobliwego patriotyzmu i nacjonalizmu".

W tym fragmencie przypomina uwagi Witolda Gombrowicza z *Dzienników czy Transatlantyku*. Bobkowski zresztą podążał w ślad za Gombrowiczem do Ameryki Południowej. Latem 1948 roku wraz z żoną Barbarą opuścił Francję, by "szukać ludzi wolnych w tym zbaraniałym świecie". Mierziło go opanowujące ówczesną Europę "totalne stotalnienie". "Europejczyk, który nie chce być wolny, przestaje być Europejczykiem. Aby nim pozostać, musiałem wyjechać" – napisał w opowiadaniu *Na tyłach*. Jerzy Giedroyc tak komentował decyzję swojego przyjaciela: "Był pod wielkim wrażeniem upadku i rozkładu Europy, nienawidził jej zmurszałych ideologii, widział tu przyszłość w bardzo czarnych barwach i chciał rozpocząć nowe życie w Ameryce Południowej".

O swojej, i nie tylko swojej, emigracji Bobkowski pisał: "Bądźmy szczerzy, ale tak naprawdę emigracja, to nie ucieczka DLA POLSKI, to ucieczka OD POLSKI, od grobów, od nieszczęść, od ciągłych próżnych wysiłków. Ucieczka od ciągłego kłopotu, od ciągłej pracy bez wynagrodzenia, od entuzjastycznej śmierci. Można chować się za wiele pozorów, ale na dnie pozostaje zwyczajne i bardzo ludzkie uczucie prawa do szczęścia". Do tych słów wypada dodać i takie wyznanie Bobkowskiego: "W całym moim życiu żeniłem się ze wszystkim z miłości. To nie jest wygodne, ale co robić, gdy nie można inaczej".

Andrzej Bobkowski osiadł w Gwatemali. Utrzymywał się z klejenia i sprzedaży modeli samolotów. W sklepie niemieckiego biznesmena założył modelarnię, później otworzył własny interes – Guatemala Hobby Shop. Zgromadził wokół siebie liczne grono młodych entuzjastów modelarstwa. Był konsekwentnym zwolennikiem utrzymywania się z pracy własnych rąk, zaradności, samodzielności. W pierwszym liście wystanym z Gwatemali do Nowego Jorku stanowczo odmawiał przyjęcia wszelkiej pomocy finansowej i prosił, żeby nie traktowano go jak nieudacznika, bo żyje z pracy własnych rąk i ma się dobrze.

W *Szkicach piórkem* wyznał prawdę, pod którą podpisuje się od lat obydwiema rękami: "z emigracji nie wraca się". Nie wrócił. Zmarł w Gwatemali na raka mózgu w wieku zaledwie 48 lat. Pochowano go w grobie rodziny doktora Quevedo, którego czterech synów przez dwanaście lat uczył modelarstwa.

A swoją drogą to ciekawe, dlaczego Bobkowski, zakochany w lotnictwie, klejący całe życie modele szybowców i samolotów, miał absolutną pewnością co do okoliczności śmierci generała Sikorskiego. Moim skromnym zdaniem ta pewność wynikała z dokładnej znajomości konstrukcji lotniczych. W bajeczki o plecaku, który miał ponoć zablokować ster głębokości, mogą uwierzyć tylko ci, którzy dość płytko znają się na budowie samolotów...

"W całym moim życiu żeniłem się ze wszystkim z miłości. To nie jest wygodne, ale co robić, gdy nie można inaczej".

NASZA OJCZYZNA-POLSZCZYZNA | KRYSZYNA S. OLSZER

Słowa-pułapki

Chodzi mi o pułapki, jakie zastawiają na nas słowa – polskie i obce. Ze szkolnych zmagani z Słowackim pamiętamy zaciszne “szalety”, w których kochali się bohaterowie poematu *W Szwajcarii*. Na lekcji polskiego pryskał romantyczny czar, a kaskady alpejskich potoków zamieniały się w kaskady śmiechu, gdy czytaliśmy:

Ach! Najciekawszy na świecie
nie zgodną,
W jakim szalecie żyłem
z moją miłą; [...] *Ełka i szalet i wiśnie w parowie,
W takim parowie,
że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła
od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki,
Szalet i różę i nas i słowiki...*

Nie na wiele zdawały się wyjaśnienia polonistki, że ów szalet to nie publiczny klozet, lecz drewniany górski domek szwajcarski, po francusku *chalet*. I nic dziwnego. Choć jeszcze Jarosław Iwaszkiewicz podczas swoich alpejskich wędrówek miał szwajcarskie szalety, dla nas szalet miał już tylko jedno znaczenie.

Ale na tym nie koniec z szaletem i klozetem. Nie było chyba Polaka, który w początkach swojego obcowania z angielszczyzną nie wpadłby w pułapkę angielskiego słowa *closet*. Po prostu nie mieściło nam się w głowach, że oznacza tutaj szafę w ścianie, której brak w polskim budownictwie powodował dotkliwą lukę w naszym słownictwie. Z czasem, chcąc nie chcąc, zaadaptowaliśmy *closet* do naszych potrzeb i dziś już bez wahania w klozetach wieszamy nasze bluzki, spodnie i płaszcze. Nie dziwny się jednak, że rodacy będą zaskoczeni lub rozbawieni, gdy zapytamy o klozet, by rozpakować walizkę czy powiesić palto.

INNE SŁOWA, Z KTÓRYMI TRZEBA MIEĆ SIĘ NA BACZNOŚCI, należą do rodziny wyrazów powstałych wokół rzeczownika ewentualność – jak na przykład przysłówki ewentualnie czy przymiotnik ewentualny. Z podobną grupą słów mamy do czynienia w angielskim, ale ich znaczenie nie zawsze pokrywa się z polskim. Wprawdzie rzadko stosowany rzeczownik *eventuality* pozostaje w znaczeniowej zgodzie z naszą ewentualnością lub – bardziej polską – możliwością, ale już przymiotnik *eventual* odpowiada polskiemu przymiotnikowi końcowy lub ostateczny, choć polski przymiotnik ewentualny oznacza możliwość wyboru, czyli coś, co może się zdarzyć, a zatem znaczący możliwy lub przypuszczalny. Angielskim odpowiednikiem będzie tu przymiotnik *possible*. Natomiast przestrzegam przed najczęstszym nieporozumieniem: przysłówki *eventually* nie znaczy po polsku ewentualnie tylko zawsze w końcu lub ostatecznie. Polski przysłówki ewentualnie ma wiele innych znaczeń i zastosowań: lub, albo, bądź, czy też, w razie czego.



Mikołaj Jasiński i jego praca przygotowana na konkurs historyczny, w którym brały udział nowojorskie szkoły

WSZYSTKIE TE KŁOPOTLIWE SŁOWA wywodzą się z łacińskiego *eventus* – przypadek, zdarzenie, który do nas przywedrował przez Francję (*événement* – wydarzenie). Stąd też wywodzi się nasz ewenement – niezwykle zdarzenie, sensacja.

Inny przykład nieodpowiedniego używania przez nas angielskich słów w polszczyźnie stanowi *graduation* – bardzo rozpowszechnione wśród Polaków w Ameryce. Tymczasem *graduation* po polsku znaczy stopniowanie, w technice jest to podziałka, skala. Natomiast angielskiemu *graduation* odpowiadałyby takie terminy, jak ukończenie szkoły lub studiów wyższych albo uroczystość wręczania dyplomów. Podobnie *graduate school* to studia podyplomowe, a *graduate student* to magistrant lub doktorant.

Również kiedy mówimy, że mamy *appointment* (np. u doktora) albo idziemy na *interview* (np. w sprawie pracy), to nie posługujemy się prawdziwą polszczyzną. W niej u doktora możemy mieć wizytę albo po prostu do niego iść, a w sprawie pracy mamy rozmowę kwalifikacyjną. Mówiąc ogólniej, *appointment* to po polsku wyznaczone spotkanie, a *interview* to wywiad – np. dziennikarza ze znanym pisarzem; laureat nagrody może udzielać wywiadu gazecie, a komentator sportowy przeprowadzać wywiad ze zwycięzcą zawodów.

INNY RODZAJ KŁOPOTLIWEJ PUŁAPKI MOGĄ STANOWIĆ SŁOWA, do których przywykliśmy w naszym języku, a których całkiem brak lub są tylko rzadkością w angielszczyźnie. Często się zdarza, że różnice w leksykalnych zasobach wynikają z odmiennej historii narodów. Dobry przykład stanowi tu niewola. Nie moglibyśmy się obyć bez tego słowa w polszczyźnie, bo tak silnie zażyła ona na naszej historii i świadomości. Amerykanie jej nie zaznali, więc przy tłumaczeniu historycznych tekstów musimy się męczyć z substytutami, jak *bondage*, które oznacza bardziej zniewolenie,

uwięzienie, a ściślej krępowanie (także seksualne) *lub captivity* – wyrażające bardziej stan fizycznego zniewolenia (*to be in captivity*) niż politycznej niewoli; *captive* to pojmany, schwyty, jeniec – jak w wyrażeniu *to be taken captive*.

W WIELKICH DNIACH SOLIDARNOŚCI DUMĄ NAPAWAŁA NAS jej wszechobecność na stronach światowych dzienników, na plakatach i ekranach telewizorów. Słowo – pisane często po polsku tzw. solidarycą (patrz diorama Mikołaja Jasińskiego na historycznym konkursie szkolnym w Nowym Jorku, 30 marca 2008 roku) – niosło w świat idee wolności, politycznych przemian, pokojowej rewolucji. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy podczas niedawnych zajęć z języka polskiego na Uniwersytecie Columbia okazało się, że nie jesteśmy w stanie znaleźć przymiotnika odpowiadającego naszemu *solidarny*. Przymiotnik *solidarity* teoretycznie istnieje, ale nikt go nie używa, więc najczęściej trzeba iść drogą opisową i wybrać jeden z niewygodnych zwrotów: *in solidarity with others*, *unionists were solid on the issue* lub mówić o *unanimous action*.

JĘZYKOWE PUŁAPKI CZYHAJĄ NA NAS również w naszym własnym języku. O mały włos sama wpadłabym w jedną z nich, odpowiadając na list pana Seweryna Makosa z Fairfield w Kalifornii. W liście poruszył sprawę, która na pierwszy rzut oka wydawała się oczywista i z początku byłam skłonna przyznać rację argumentom Korespondenta, który pisał:

“Gnębiło mnie to dawno temu i wróciło ostatnio. Leszczyński klub... Według mnie powinno być lesznieński klub... Gdyby miasto nazywało się Leszczno lub może Leszczyny, zgodziłbym się na leszczyński. Proszę o potwierdzenie mojego odczucia lub wyjaśnienie zasady, która każe mówić leszczyński”.

Zasadę trudno tu sformułować, bo w grę wchodzi raczej tradycja niż reguła. A jednak potwierdzenie formy, którą kwestionuje pan Makosa, znalazłam w etymologii nazwy Leszna – tego wielkopolskiego miasta słynącego z dawien dawna z produkcji prochu pierwszej jakości. Jest nią jed-

nak leszczyna. Miasto wyrosło najwidoczniej w miejscu dawniej porośniętym leszczyną. To z niej wzięta się wcześniejsza nazwa – Leszczyno, a pochodny przymiotnik leszczyński do dziś zachował pierwotną postać. Formę leszczyński potwierdzają współczesne słowniki, w tym najnowszy *Poprawnej polszczyzny* Andrzeja Markowskiego, który podaje wszystkie wątpliwe formy słowa i ostrzega przed niepoprawnymi: “Leszno – lesznianin-lesznianina (nie: leszniana); lesznianie-lesznian (nie: lesznianów, nie: lesznianinów), lesznianka-lesznianek; leszczyński (nie: lesznieński, nie: lesznowski)”. Natomiast *Wielki Słownik Języka Polskiego* Karłowicza, Kryńskiego, Niedźwiedzkiego z początku wieku XX przypomina o prochu leszczyńskim wyrabianym w mieście Lesznie i na udokumentowanie poprawności formy przywołuje autorytet samego Mickiewicza. Czy pamiętają Państwo jeszcze romantyczną balladę *Czaty*? Nie mogę się powstrzymać przed zacytowaniem tu jej szczęśliwego zakończenia.

W balladzie stary i bogaty wojewoda odkrywa zdradę i chce śmiercią ukarać niewierną żonę i jej romantycznego kochanka. Rozwścieczony widokiem miłosnej sceny w altanie już czai się i celuje w kochanków, gdy niespodziewanie odzywa się serce w starym kozackim słudze:

“Panie – kozak powiada –
jakiś bies mię napada,
Ja nie mogę zastrzelić tej dziewczki;
Gdym półkurcze odwodził,
zimny dreszcz mię przechodził
I stoczyła się łza do panewki”.

“Ciszej, plemię hajducze,
ja cię płakać nauczę!
Masz tu z prochem leszczyńskim
sakiewkę:
Podsyp zapal, a żywo szczyść
paznokciem krzesiwo,
Potem palnij w twój łeb
lub w tę dziewczkę”.

“Wyżej... w prawo... pomału,
czekaj mego wystrzału,
Pierwej musi w łeb dostać
pan młody”.
Kozak odwiódł, wycelił,
nie czekając wystrzelił
I ugodził w sam łeb – wojewody. □

Księgarnia “Nowego Dziennika” poleca: książki Andrzeja Bobkowskiego

Listy do Tymona Terleckiego

Niniejszy tom przynosi blok listów pisanych z Gwatemali, gdzie po 1948 r. Bobkowski osiadł, do Tymona Terleckiego (1905-2000), historyka literatury, eseisty i krytyka teatralnego, po wojnie wykładowcy uniwersytetów amerykańskich. Ważnym dopełnieniem tej korespondencji są pisane już po śmierci Bobkowskiego listy jego żony Barbary do Terleckiego, w których ukazała sylwetkę duchową męża.

s. 250, \$16.00

Zmierzch i inne opowiadania

Tom prozy wybitnego pisarza emigracyjnego. Tytułowy “Zmierzch” to niedokończona powieść Bobkowskiego, której pisanie przerwała mu przedwczesna śmierć. Krótkie utwory Andrzeja Bobkowskiego Tymon Terlecki uznał za “jedno ze szczytowych osiągnięć literatury emigracyjnej”. W skład zbioru wchodzi: “Uśmiech z góry”, “Drogami słońca i wina”, “Alma”, “Wielki akwizytor”, “Zmierzch”.

s. 108, \$15.00

Punkt równowagi

Wybór najciekawszych i najbardziej znanych opowiadań Andrzeja Bobkowskiego zaliczanych przez krytykę literacką do arcydzieł noweli współczesnej.

W skład tomu wchodzi: “Gdzie tak swobodno dyszt czełowiek...”, “Uśmiech z góry”, “Nekyia”, “Siódma”, “Pożegnanie”, “List”, “Coco de Oro”, “Punkt równowagi”, “Spotkanie”, “Spadek”, “Zmierzch”.

s. 417, \$30.00

* Książka do nabycia w Księgarni Nowego Dziennika (333 West 38th Street NY, NY 10018; tel. (212) 594-2386; www.ksiazkionline.com; e-mail: ksiazki@dziennik.com); przy zakupie z wysyłką do ceny prosimy doliczyć 6,50 dol. porto.

Problem przyszłości Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku

Listy do redakcji



Droga Redakcjo,

pragniemy ustosunkować się do artykułu "30 lat z Instytutem Piłsudskiego" nowej pani prezes Magdy Kapuścińskiej ("Przeгляд Polski" z 4 lipca 2008 r.), w którym m.in. była mowa o przyszłości tej placówki.

1) Wolą polskich i polonijnych patriotów, którzy założyli Instytut 4 lipca 1943 roku, był jego powrót do niepodległej Polski. Dopiero w 2008 r. powstały dogodne warunki na powrót zbiorów do Polski.

2) 19 stycznia 2008 r. większość Rady (10 głosów za, 2 przeciw) wypowiedziała się za powrotem Instytutu do Polski. Plan nowego zarządu jest sprzeczny z intencją Rady wyrażoną na tym zebraniu.

3) 12 kwietnia 2008 r. na walnym zebraniu mniejszość Rady złamała zasady wzajemnego zaufania i narzuciła większości Rady zarząd, który planuje zatrzymać Instytut w Stanach Zjednoczonych wraz ze zbiorami, które zawierają bezcenne Archiwa Belwederskie, wywiezione z Polski we wrześniu 1939 roku – własność państwa polskiego.

4) 1 maja 2008 r. minister kultury i dziedzictwa narodowego p. Bogdan Zdrojewski na spotkaniu z nowym zarządem potwierdził zaproszenie Instytutu przez panią Jadwigę Piłsudską-Jaraczewską – prezes Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego – do włączenia jego zbiorów do nowego centrum naukowo-muzealnego, które powstanie pod egidą Fundacji w 2010/11 w Sulejówku. Na stworzenie tej placówki

został przyznany z funduszu euro-pejskich budżet w wysokości 125 milionów złotych. Państwo polskie opłaci utrzymanie centrum. W odpowiedzi na to zaproszenie nowy zarząd Instytutu (cztery osoby) napisał w liście do "Przeгляdu Polskiego" (20 czerwca br.): "Pragniemy, aby Instytut mieścił się w Nowym Jorku". Deklaracja nowego zarządu o intencji pozostania w USA de facto odrzuca zaproszenie, które wygasa 11 listopada 2008 r.

5) Plan "krzewienia polskiej kultury i nauki w Stanach Zjednoczonych" nie wymaga kosztownej lokalizacji w Ameryce zbiorów, które należą do Polski, i tam będzie z nich największy pożytek. Rocznie do Instytutu przyjeżdża z Polski dzięki stypendiom 30 badaczy. Ilu historyków, nauczycieli, studentów i uczniów mogłoby korzystać z tych zbiorów w Polsce?

6) Plan nowego zarządu digitalizacji wszystkich zbiorów znajdujących się w USA, z pomocą grantów z amerykańskich fundacji (potrzeba na to 2 miliony dolarów), by dać "możliwość szerokiego dostępu do naszych zbiorów rzeszom badaczy na całym świecie" (cytat z wypowiedzi p. Kapuścińskiej), jest zupełnie nierealny, niewykonalny przez Instytut znajdujący się w kruchym stanie finansowym i organizacyjnym (jeden etatowy pracownik) oraz niebezpieczny, bo zagraża prawom autorskim do dokumentów. Polscy historycy, nauczyciele i studenci historii, którzy mieszkają i pracują w Polsce, nie będą mogli zobaczyć oryginałów dokumentów, które są

bezcennym skarbem narodu. Minister Zdrojewski zapewnił zarząd, że w Polsce zostanie przeprowadzona racjonalna digitalizacja archiwów na koszt państwa polskiego.

7) Pani Kapuścińska pisze: "Liczymy na to, że obecne działania i program pracy Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku znajdują zrozumienie i poparcie «starej gwardii piłsudczykowskiej (jak określa tę grupę prof. Wandycz we wspomnianym artykule)»" [mowa tu o artykule "Na rozdrożu. Historia i przyszłość Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku", "Przeгляд Polski" z 13 czerwca br. – przyp. red.]. Niestety, prof. Piotr Wandycz, emerytowany profesor historii Yale University, nestor polskich historyków w Ameryce, wieloletni członek Rady Instytutu, doktor honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, złożył rezygnację z członkostwa w Radzie 20 czerwca br. Wcześniej, 12 kwietnia, wiceprezes Instytutu dr Stanisław Milewski został usunięty z Rady przez sześciu zwolenników nowego programu. Nie rokuje to poparcia "starej gwardii piłsudczykowskiej" dla nowej Rady i jej planów.

8) Jesteśmy przekonani, że członkowie Instytutu, którzy są w większości weteranami II wojny światowej lub należą do ich rodzin, oraz że inni polscy patrioci, którzy z dumą mówią o sobie "jesteśmy piłsudczykami", nie popierają zamierzeń nowego zarządu.

Rada Instytutu jest wedle statutu najwyższą instancją, ale statut pozwala na konsultację członków

Instytutu w ważnych sprawach. Decyzja co do odrzucenia zaproszenia Instytutu i jego zbiorów do kraju powinna być skonsultowana ze wszystkimi członkami Instytutu. Jest nie do pomyślenia, by decyzja o przyszłości Instytutu została powzięta przez grupę kilku osób niezwiązanych z ideologią i tradycją Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, którego obecnym prezesem jest osoba zamieszkała od 6 lat w Polsce. Apelujemy do nowego zarządu Instytutu, by powiadomił wszystkich członków o swojej odmownej decyzji w sprawie powrotu Instytutu i jego zbiorów do Polski i pozwolił opozycji w Radzie na przedstawienie swego odmiennego punktu widzenia.

Członkowie Instytutu:

Andrzej Beck,
b.wiceprezes Instytutu 1999-2008,
członek Rady
Anna Cienciata,
em. prof. historii, Kansas University
Jacek Gałazka,
b. prezes Instytutu 1999-2008,
członek Rady
Jerzy R. Krzyżanowski,
em. prof. literatury polskiej,
Ohio State University
Juliusz Łukasiewicz,
em. prof. inż., Carleton University,
Ottawa
Stanisław Milewski,
b.wiceprezes Instytutu (2003-2008)
Krystyna Nagórka,
administrator National Board
of Economic Research w Nowym Jorku
Barbara Wierzbńska,
wydawca Nowego Dziennika

Z wydarzeń...

► 3 Na ponad 80 obrazach olejnych, miniaturach, litografiach, rysunkach i fotografiach oglądać można wizerunki przedstawicieli XIX-wiecznej szlachty. Zgromadzone eksponaty są własnością mieszkańców Warszawy.

W Muzeum w Warce do 7 września wystawia swe prace nowojorska grupa Emocjonałści.

W ekspozycji "Bruk. Natura. Emocje" biorą udział m.in. Piotr Betlej, Maria Fuks, Jan Hausbrandt, Basha Maryanska, Mieczysław Mietko Rudek, Janusz Skowron i Lubomir Tomaszewski.

"Litwa z lotu ptaka" to wystawa zdjęć Mariusa Jovaisy w Centrum Kultury Litewskiej w Warszawie.

Ponad pięćdziesiąt fotografii ukazują krajobrazy współczesnej Litwy. Są to widoki zakoli Niemna, cienistych puszczy, rozległych łąk, a także zabytkowych dzielnic litewskich miast oraz wioski skrytych w dziewiczych obszarach Żmudzi.

40 grafik niemieckiego artysty Bernharda Heisiga trafiło do zbiorów Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Prace podarował Senat Miasta Berlina.

Muzeum otrzymało w darze dwa cykle litografii. Pierwszy z nich liczy 13 prac i nosi tytuł *Faszystowski koszmarny*. Drugi cykl inspirowany książką Ludwiga Renną zatytułowany jest *Wojna* i składa się z 27 grafik.

Grafiki zostaną zaprezentowane w przyszłym roku podczas kolejnej wystawy prac Heisiga.

RÓŻNE

W obecności Romana Polańskiego na plaży w Sopocie odsłonięto rzeźbę *Dwaj ludzie z szafą* autorstwa Pawła Althamera i Jacka Adamasa, nawiązującą do słynnej etiudy reżysera. Uroczystości towarzyszył koncert Kwintetu Tomasza Stańki, który zagrał utwory Krzysztofa Komedy, autora muzyki do tej etiudy.

Odsłonięcie rzeźby to jedna z imprez składających się na 13. Festiwal Gwiazd, w ramach którego przewidziano spektakle teatralne, pokazy filmowe i koncerty. Zaplanowano m.in. przedpremierowy pokaz filmu *Bracia Karamazow* i wykonanie utworu *Siedem bram Jerozolimy* Krzysztofa Pendereckiego.

Skwer przed Biblioteką Uniwersytetu Łódzkiego będzie nosił imię Zofii i Zygmunta Hertzów – najbliższych współpracowników Jerzego Giedroycia, przed wojną mieszkańców Łodzi.

Z inicjatywą zwrócić się do władz uczelni Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu.

Rok 2008 jest związany z pamięcią o Zygmuncie Hertzcu, bowiem w styczniu minęła 100. rocznica jego urodzin. W czerwcu przypadła zaś 5. rocznica śmierci Zofii Hertz.

NA PODSTAWIE SERWISU PAP I INNYCH ŹRÓDEŁ OPRACOWAŁA EWA KARA

Przeгляд Polski

Tygodniowy dodatek kulturalny nowego dziennika Redaguje Julita Karkowska

Adres redakcji:
333 West 38th Street,
New York, NY, 10018-5599
tel. (212) 594-2266 wew. 36
fax (212) 594-2383
E-mail: julita@dziennik.com
http://dziennik.com/przeglad

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca

PRENUMERATA w formacie PDF bez czekania na listonosza!
www.dziennik.com/przeglad



POLONIKA

● Prozaicy Olga Tokarczuk i Ingo Schulze z Niemiec zostali laureatami Nagrody Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. Samuela Bogumiła Lindego.

Wyróżnienia te są przyznawane od 1996 r. autorom, których "słowo tworzy ideały i wartości, łącząc ludzi, społeczeństwa i narody we wspólnej rozmowie". Nagrody zawsze otrzymują dwaj autorzy – z Polski i Niemiec, a są one wręczane na przemian w Toruniu i Getyndze. Olga Tokarczuk i Ingo Schulze należą do najbardziej cenionych w swoich krajach pisarzy średniego pokolenia. Oboje urodzili się w 1962 r.

● Małgorzata Łukasiewicz otrzymała niemieckie wyróżnienie dla tłumaczy literatury – Nagrodę im. Hermana Hessego.

Przełożona przez Łukasiewicz i wydana w 2006 roku korespondencja między Hessem a Tomaszem Mannem przyczyniła się do rozpropagowania twórczości Hessego w Polsce – podkreśliło jury przyznające nagrodę. Łukasiewicz przetłumaczyła też na polski m.in. książki tak znanych niemieckich autorów, jak Günter Grass i Heinrich Böll. Jej dziełem jest również przekład *Pachnidła* Patricka Süskinda.

● Marek Krajewski, autor wydanej ostatnio w Wielkiej Brytanii powieści *Śmierć w Breslau*, wraz z Joanną Pawluśkiewicz i Jamesem Hopkinem weźmie udział w dyskusji podczas London Literature Festival organizowanego przez Southbank Centre. Spotkanie prowadzi Grażyna Plebanek. Z publicznością spotka się również artysta Andrzej Klimowski, który wraz z Danusią Schejbal przygotował *Mistrza i Małgorzatę* Michała Bułhakowa jako książkę graficzną.

● Najnowszy film w reżyserii Jerzego Skolimowskiego *Cztery noce z Anną* został bardzo dobrze przyjęty we Francji i ostatnio zainaugurował przegląd europejskiego kina "Wiek w Europie, wiek w kinie", zorganizowany w Filmotece Narodowej w Paryżu z okazji objęcia przez Francję przewodnictwa Unii Europejskiej. Film będzie wyświetlany także na festiwalu "Paris Cinema", a w listopadzie będzie oficjalnie na ekrany francuskich kin.

● W programie głównym 62. Festiwalu Teatralnego w Awinionie znalazł się tylko jeden polski akcent – poznanianin Szymon Brzóska skomponował muzykę do spektaklu *Sutra* belgijskiego reżysera i choreografa Sidi Larbi Cherkaoui.

Trzy polskie spektakle zaprezentowane zostaną podczas przeglądu światowych scen offowych: *Oj, Oda, Oda!* gdańskiego teatru Stajnia Pegaza Ewy Ignaczak, *Alchemika halucynacji* Joanny Czajkowskiej i Jacka Krawczyka z sopockiego Teatru Okazjonalnego oraz *Fin* – autorski spektakl Sylwestra Biragi, dyrektora i głównego reżysera Teatru Druga Strefa z Warszawy.

● Centrum Praktyk Teatralnych Gardzienice wystawiło *Ifigenię w A...* według Eurypidesa w teatrze w Fryniihos w Grecji. W spektaklu wyreżyserowanym przez Włodzimierza Staniiewskiego jako Posłaniec wystąpił gościnnie Krzysztof Globisz.

Występem towarzyszy realizacja filmu na podstawie *Ifigenii w Aulidzie* w okolicach Delf. Obraz reżyseruje sam Staniiewski, a operatorem jest Wojciech Staroń.

● W Tokio po ciężkiej chorobie zmarł prof. Yukio Kudo – tłumacz literatury polskiej (m.in. Gombrowicza, Konwickiego, Hłaski, Jasieńskiego, Nowakowskiego i Kapuścińskiego), poeta i serdeczny przyjaciel Polski.

Prof. Kudo tłumaczył również literaturę rosyjską, jidysz, węgierską, francuską, serbską i amerykańską. Był laureatem nagrody literackiej dziennika *Yomiuri-shinbun*, japońskiej gazety o największym nakładzie, za *Dzieła wszystkie* Brunona Schulza.

PAP/R/EK

Ze świata kultury

Metropolis jak nowe

W 1927 roku w Berlinie odbyła się premiera futurystycznego filmu Fritza Langa *Metropolis*. Oryginalną wersję filmu, w którym w podzielonym mieście XXI wieku elity cieszą się dobrobytem, podczas gdy zniewoleni robotnicy pracują pod ziemią, wyświetlano w Niemczech tylko przez kilka miesięcy. Później amerykański dystrybutor skrócił ją o prawie pół godziny. Przez lata wierzono, że wycięte sceny zaginęły bezpowrotnie. Jak się okazało, całość zakupiło w 1928 roku argentyńskie przedsiębiorstwo filmowe Terra Film. Niedawno obraz Langa odnaleziono w Muzeum Filmowym w Buenos Aires. Oryginalna taśma wróciła do Niemiec. Anke Wilkening, odpowiedzialna za odrestaurowanie filmu, powiedziała: "Odzyskano wszystko, co przez 80 lat uważano za zaginione, w tym dwie kluczowe sceny".

Na cześć języka walijskiego

The Presence Danniego Abse'a, walijskiego poety mieszkającego w Londynie – wzruszająca książka poświęcona jego 50-letniemu małżeństwu z Joan, która 3 lata temu zginęła w wypadku samochodowym, została uznana w Walii za Książkę Roku. Brytyjska poetka Carol Ann Duffy określiła *The Presence* jako "fragment autobiografii napisany z potrzeby serca piórem maczany w krwi i łzach". 84-letni Abse jest autorem 16 tomów poezji i opowiadań.

Za najlepszą powieść w języku walijskim tytuł przypadł Garethowi Milesowi. Jego książka *Y Proffwyd a' l Ddwj Jesebel* (*The Prophet and His Two Jezebels*), której akcja toczy się na początku XX wieku, opisuje burzliwy związek walijskiego kaznodziei z dwiema kobietami.

Podczas uroczystości w Cardiff obaj laureaci odebrali czeki na 20 tysięcy dolarów. Walijski minister kultury Rhodri Glyn Thomas powiedział: "Walia ma fantastyczną tradycję literacką w obu narodowych językach. Jesteśmy widoczni na literackiej mapie świata zarówno w języku angielskim, jak i walijskim".

Królowa pustyni

W paryskim Institut du Monde Arabe trwa ekspozycja zatytułowana "Czwarta piramida", poświęcona legendarnej śpiewaczce egipskiej Oum Kalsoum, która zmarła w 1975 r. Pochodząca z głębokiej prowincji Kalsoum, zwana w świecie arabskim "gwiazdą Bliskiego Wschodu" i "czwartą piramidą", śpiewała publicznie jako dziecko, ale w chłopięcym przebraniu. Jej repertuar obejmował pieśni miłosne i religijne. Egipski minister kultury Faruq Hosni wyjaśnił: "Śpiewała dla wszystkich. Podbiła serca zarówno mieszkańców miast, jak i prostych chłopów, ludzi wykształconych i analfabetów. Cały arabski świat był pod wrażeniem jej głosu".

Tak wygląda wnętrze pawilonu na Światowej Wystawie Expo 2008 w Saragossie, którą przygotowano pod hasłem "Woda i zrównoważony rozwój". 6 lipca był Dniem Polski na Expo 2008



Fot. PAP/Pawel Supernak

Śpiewaczkę podejmowano często z honorami należnymi głowie państwa, a na jej pogrzeb przybyło ponad 4 miliony ludzi.

W Paryżu pokazano osobiste przedmioty artystki, kostiumy estradowe, książki, fotografie, a także fragmenty filmów dokumentalnych. Wysłuchać można również archiwalnych nagrań. Podobno podczas jej radiowych koncertów "na żywo" w Kairze zamierało życie. Instytut zorganizował także wieczory muzyczne "W hołdzie Oum Kalsoum", w których udział wzięli Abir Nasraoui, Naziha Meftah i zespół Attourath.

W nadziei na lepszy świat

W Arganda del Rey i w Madrycie zakończyła się seria koncertów rockowych z udziałem światowych gwiazd. Wystąpili m.in. Bob Dylan, Suzanne Vega, Lenny Kravitz, Alanis Morissette, Amy Winehouse, Shakira, Neil Young i zespół The Police ze Stingiem. Latynoskim akcentem imprezy były wokalne popisy piosenkarzy brazylijskich Carlinhosa Browna i Ivete Sangalo. Trzyminutową ciszą uczestnicy imprezy uczcili nadzieję "na lepszy świat", a Madrycka Orkiestra Młodzieżowa wykonała utwór Johna Lennona *Imagine*.

Pomysł takich koncertów narodził się 23 lata temu w Rio de Janeiro. Kilka lat temu ich gospodarzem była Lizbona. Organizatorzy planują kolejne w Europie i Azji.

Wyobraźnia przestrzenna

Już po raz trzeci Królewski Instytut Architektów Brytyjskich przyznał prestiżową Nagrodę Lubetkina. Berthold Lubetkin, światowej sławy architekt, zmarł w 1990 roku. Wyróż-

nienie przyznawane jest za wybitne dzieło architektoniczne powstałe poza Unią Europejską. Tegorocznym zwycięzcą jest Gianni Botsford, projektant Casa Kike – prywatnej rezydencji wybudowanej w kostarykańskiej miejscowości Cahuita. Podczas uroczystego bankietu w Londynie jeden z jurorów, Sunand Prasad powiedział: "Serdecznie gratuluję Gianniemu Botsfordowi. Dom zaprojektowany dla jego ojca dowodzi, iż czasami najlepsza architektura może być mała rozmiarem, ale wielka duchem".

Casa Kike to dwa budynki różnej wielkości połączone pomostem. Niezwykle prosta, drewniana konstrukcja wznosi się na grubych balach z najtwardszego drewna na świecie zwanego *cachá*. Lubetkin wyjątkowo starannie zaprojektował bibliotekę, która mieści 17 tysięcy książek.

Rozpędzone arcydzieła

W 2001 roku brytyjski artysta Martin Creed otrzymał Nagrodę Turnera za *Pracę nr 227*, która polegała na ciągłym włączaniu i gaszeniu światła w galerii. Do listopada w Tate Britain podziwiać można jego *Pracę nr 850*. Co 30 sekund przez 86-metrowy korytarz Duveen Galleries wypełniony neoklasycznymi rzeźbami przebiega sprintem sportowiec. Creed znalazł 50 lekkoatletów, którzy za 20 dolarów na godzinę zgodzili się być częścią jego najnowszego dzieła. Wszystkim tym, którzy nie potrafili docenić artystycznej wielkości projektu, Creed wytłumaczył: "Bieganie jest przeciwieństwem bezruchu. Jeżeli śmierć kojarzy się z bezruchem, to najszybszy ruch jest symbolem życia. Szybki bieg to przykład żywotności". Tate zatrudniła dodatkowych strażników, którzy pilnują, aby zwiędający nie wpadali na rozpędzone "ekspozyty". Artysta wyznał, że do

Pracy nr 850 zainspirowała go wyprawa do katakumb kapucynów w Palermo. Ponieważ przybył na 5 minut przed zamknięciem, całe muzeum zwiedził w biegu. Obecnie Creed intensywnie trenuje, by za miesiąc przylączyć się do sprinterów w Tate.

Wróg w meloniku

W madryckiej Fundación la Caixa otwarto wystawę poświęconą jednemu z najwybitniejszych aktorów XX wieku – Charliemu Chaplinowi. Zebrano ponad 300 eksponatów, głównie fotografie, plakaty, czasopisma i fragmenty filmów. "Wizerunki Chaplina" pozwalają lepiej zrozumieć proces kształtowania się postaci trampa z laseczką, który po raz pierwszy na srebrnym ekranie pojawił się w 1914 roku.

Urodzony w Londynie Chaplin, znany z perfekcyjnego podejścia do każdej sceny, wprowadził do swoich filmów elementy krytyki społecznej. W *Światłach wielkiego miasta* i *Dzisiejszych czasach* krytycznie odnosił się do amerykańskiego stylu życia. W epoce maccartyizmu oskarżano go o komunistyczne sympatie. Kiedy w 1952 roku przebywał w wizytę w Anglii, władze amerykańskie postanowiły nie odnawiać jego wizy. Aktor osiadł na stałe w Szwajcarii, gdzie zmarł w 1977 roku.

Teatr jednego aktora

Australijski aktor Heath Ledger, bohater filmu *Tajemnica Brokeback Mountain*, zmarł w styczniu z powodu przedawkowania leków. Jego imieniem nazwano właśnie ogromne centrum teatralne w Perth – mieście, z którego pochodził.

Decyzja władz podzieliła mieszkańców. Lokalny polityk Alan Carpenter stwierdził: "Ledger był

całkowicie oddany aktorskiej profesji i dlatego odnosił tak wspaniałe sukcesy". Przeciwnicy decyzji skrytykowali osobiste życie aktora i jego brak doświadczeń teatralnych, a posunięcie władz nazwali przykładem cynicznego marketingu. W obronie zmarłego gwiazdora stanął reżyser John Rapsey: "Nie ma nic złego w tym, aby patronem teatru został ktoś, kto grał w filmach, bo moim zdaniem wszystko jest grą aktorską. Ledger był sławny, a jego nazwisko z pewnością przyciągnie wielu ludzi".

Nigdy więcej wojny!

Z takim okrzykiem 41-letni mieszkaniec Berlina rzucił się na woskową figurę Adolfa Hitlera i oderwał jej głowę. Do incydentu doszło w dniu uroczystego otwarcia niemieckiej filii muzeum Madame Tussauds. "Zamachowiec" – były oficer policji – poturbował dwóch strażników, którzy próbowali zagrozić mu drogę.

Już wcześniej decyzja o umieszczeniu figury Führera w muzeum wywołała zaniepokojenie burmistrza miasta Klaus Wowerita i licznych historyków, którzy stwierdzili, iż jest to próba zamiany historii w rozrywkę. Rzeczniczka muzeum Katrin Srumdsdorf oświadczyła wówczas: "Hitlera umieszczamy za biurkiem w ciemnym bunkrze. Przypomina starego, załamane człowieka – być może tak właśnie wyglądał przed popełnieniem samobójstwa".

Nie wiadomo, kiedy woskowy Hitler, wart ponad 300 tysięcy dolarów, powróci do bunkra. W muzeum Madame Tussauds oglądać można figurę 70 słynnych Niemców, m.in. Angeli Merkel, Alberta Einsteina, Marleny Dietrich, Karola Marksa, Bertolda Brechta i Jana Sebastiana Bacha.

NA PODSTAWIE RÓŻNYCH ŹRÓDEŁ
OPR. MAŁGORZATA MARKOFF